

# WIEDZA - ŻYCIĘ - SZTUKA

## WIEDZA

ROK I

LUBLIN, 15—30 KWIETNIA 1947 R.

Nr 6 (31)

STEFAN WOLSKI

# M A R I A S T U A R T

O „Marii Stuart” Juliusza Słowackiego tak wiele najprzedniejszych umysłów i znawców rzeczy zabierało głos, że — wyznam szczerze — do tematu tego podchodzić z zażenowaniem. Ponieważ kwestia opracowania kilku uwag o dramacie pozostaje w związku z wystawieniem tragedii w Teatrze Lubelskim, pragnę zastrzec się, że artykuł niniejszy będzie miał charakter bardziej informacyjno - użytkowy niż literacko - odkrywczy. Nie zamierzam bowiem pretendować do oryginalności i na ścianach wiedzy o Słowackim odkrywać freski dawno już odnalezione.

Gdyby ktoś spojrzął na „Marię Stuart” Juliusza Słowackiego w oderwaniu od jej tła historycznego jako na dramat przedstawiciela romantyzmu, odrzucając sugestywny wpływ nazwiska Wielkiego Autora (które mogłoby podważyć obiektywizm owego spojrzenia), zadziwiłby się i może przeraził spiętrzeniem zła zawartego w utworze. Mogłoby nawet mieć wątpliwości czy życie zdolne jest dostarczyć tak ponurego dramatu zbrodni w środowisku dziejeściu zaledwie osób. Mogłoby również zastanowić się nad wartością romantyzmu, grzęznącego w tematyce tak wysoce posępnej, bez cienia nieledwie uśmiechu ludzkiego. Byłoby to jednak wejrzenie powierzchowne. Nie odkryłoby ono w „Marii Stuart” nie poza zaletami scenicznymi, ostrością rysunku charakterów i poetyckim dźwiękiem pięknych strof. Fantazja, wyobraźnia i poezja — powiedziałyby, i byłyby w tym zdaniu równie daleko jak i blisko prawdy. „Marii Stuart” bowiem nie można rozważać bez wniesienia w istotę czasów współczesnych historycznym postaciom dramatu, jak i z pominięciem kilku informacji związanych z osobą twórcy z okresu pracy nad tą sztuką.

Historyczna Maria Stuart (ur. 8.12. 1542 r.), córka Jakuba V szkockiego i Marii Guise, jako sześciolatnie dziecko znalazła się na dworze francuskim, przeznaczona na małżonkę następcy tronu Franciszka II. Mając szesnaście lat poślubiła delfina, który jednak bardzo prędko zmarł. Wielki plan francuskiego króla połączenia pod berłem Marii i Franciszka trzech narodów: francuskiego, szkockiego i (ewent.) angielskiego został zniweczony. Maria powraca do Szkocji obciążona złym wpływem dworu francuskiego, który przez lata wyciskał na nieukształtowanym charakterze kobiety pełną lekkość obyczajów, zmysłowości i deprawacji. W kraju ogarnęła Marię z punktu walka, tocząca się między katolikami i protestantami. Ratując się w niebezpiecznej sytuacji, królowa poślubiła w 23 roku życia dalekiego krewnego, Henryka Stuarta lorda Darnley'a, sądząc, że z pomocą tego możnowładcy szkockiego zdoła rozbić obóz protestantów, zasilanych ludźmi i pieniędzmi z protestanckiej Anglii Elżbiety. Małżeństwo to nie przyniosło Marii Stuart nic dobrego. Henryk bowiem nie tylko nie był jej pomocny w walce, ale przeciwnie, jego żądza władzy zbliżyła go do przeciwników królowej. Kiedy zaś za jego sprawą został zamordowany ulubieniec Marii lorda Rizzio, nastąpiło zerwanie, które zakończyło się śmiercią Darnley'a w zamachu zorganizowanym przez kochanka królowej hr. Botwela. Śledztwo nie udowodniło mu

zbrodni; nie było też dowodu współwiny Marii. Wkrótce też Maria Stuart po raz trzeci zawarła związek małżeński.

Trzeci z kolei jej małżonek: hr. Botwel nie zmienił w niczym toczącej się fali przełomu dziejowego. Miecz reformacji zmiotł królową z granic Szkocji. Prawowita dziedziczka tronu angielskiego (Maria Stuart pochodziła w prostej linii od Henryka VII), jak na ironię, szukała schronienia u Elżbiety angielskiej, którą przypadek urodzenia uczynił przywódcą protestantów. Elżbieta skorzystała ze sposobności i uwięziła rywalkę, następnie wytoczyła jej proces o współudział w zamordowaniu Darnley'a, i wreszcie (po 20 prawie latach więzienia), wykrywszy spisek, w którym rzekomo brała udział Maria Stuart, wytoczyła jej nowy proces. Zapadł wyrok skazujący na śmierć, nieszczęsną królową zakończyła swój tragiczny żywot pod toporem kata w 1587 r.

Nie była to przecie wyłącznie tragedia rodziny królewskiej. Maria Stuart urodziła się na krawędzi epoki, która kończyła się nieodwołalnie. Nowe czasy budowały przewrót, idący w ślad za reformacją. Walka, którą toczyli „papiści” i protestanci miała nie tylko aspekt religijny. Była to walka o nowe zdobycze społeczne, w której miał zostać rozbity ostatnie duch średniowiecza, a niedobitkowo przekwitł feodalizm: rycerze i duchowni, od wieków dzierżący władzę, mieli wydać ostatnie tchnienie.

Agonia minionego świata — to okre-

życia Marii Stuart. Niewątpliwie tragiczna ta postać jest wyrazem owego czasu, który równie był krwawy jak i konstruktywny w końcowym efekcie. Niewątpliwie los królowej niezdolnej spoznać konieczności i nieodwołalności przemian społeczno-religijnych, z góry był przesądzony. To zaś, że nie dorosła ona do zadań i mądrości męża stanu i w rezultacie nie zdołała wywrzeć konkretnego wpływu na bieg wypadków, płacząc się w zbrodni i intrygach dworskich (w najmniej odpowiedniej do tego chwili), stało się dla niej wyrokiem, którego wykonanie zaledwie się odwlekło.

Zdawałoby się, że Juliusz Słowacki uchwycił sens, i owego czasu walki o postęp, i owych ludzi przeciwnych obozów. Nazwanie „Marii Stuart” dramatem historycznym usprawiedliwiłoby ten pogląd. W realizacji koncepcji wyszło jednak coś formalnie tylko związanego z tem historycznym tragedii królowej. Mając do dyspozycji materiał twórczy z jednej strony wiążący się z dramatyczną historią owych czasów XVI w., a z drugiej strony — z tragedią żywych ludzi, Słowacki — poeta poszedł tropem większej dań wówczas tragedii: tragedii duszy człowieka. Stąd jego „Maria Stuart” nie jest bynajmniej dramatem historycznym a wybitnie — psychologicznym.

Początkowy akcent pierwszego, odświeżającego w opowiadaniu pazia wrzenie rewolucyjne w Szkocji na tle ataków protestantów na obóz katolicki, którego sercem jest dwór królewski, za-

powiada pozornie dalszy bieg wypadków o potężnym ładunku problemu historycznego. Akcent ten natychmiast prawie niknie, a na jego miejsce wchodzi nuta uczucia i zbrodni o charakterze (ze współczesnego punktu widzenia) kryminalnym.

Autor zatem nie wykorzystał materiału historycznego w stopniu oczekiwanym i — mógłby ktoś rzec — zmarnował temat. Być może wpłynęła na to lektura Historii Szkocji szkockiego powieściopisarza i historyka szkoły romantycznej Waltera Scotta, a i kilku jego opracowań literackich z życia królowej, które były dla Słowackiego bodajże jedynym źródłem poznania dziejów Marii Stuart, a które należy uważać za naświetlenie jednostronne. Możliwe jednak, że Słowacki przeczytał także Marię Stuart Schillera i Alfieriego i ich śladem poszedł w kierunku analizy duszy królowej, znajdując w takim ujęciu nęcącą bliskość dla własnych wewnętrznych przeżyć.

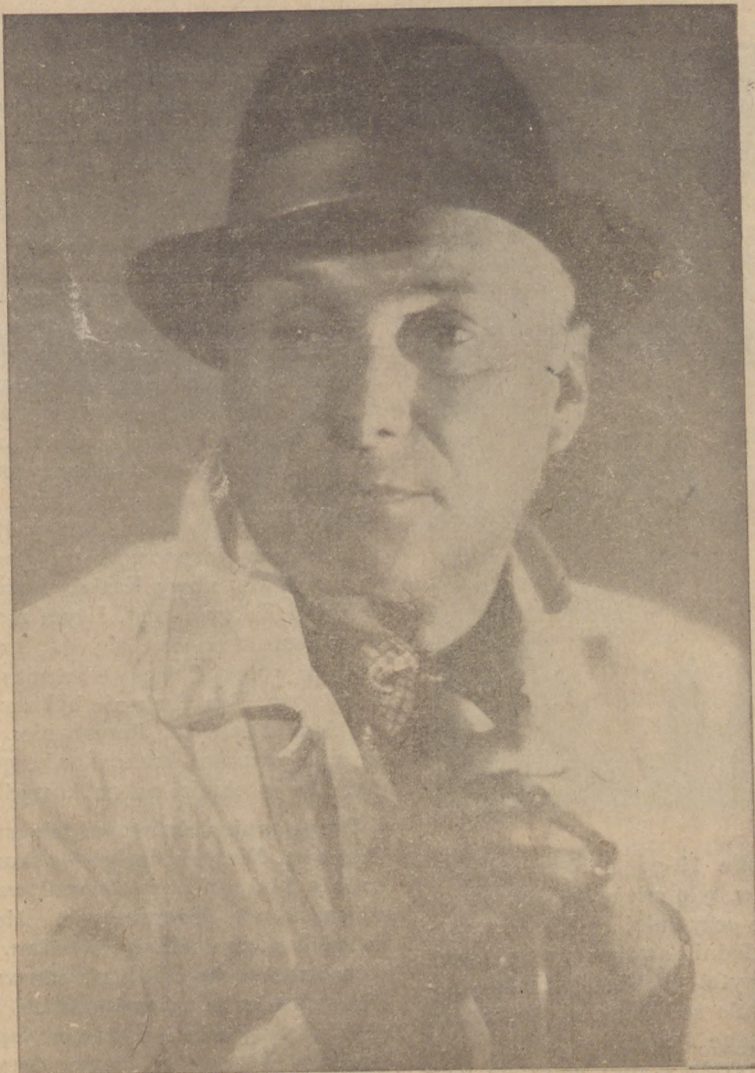
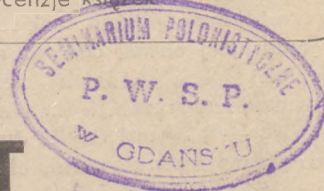
Nie zwracając więc zbyt uwagi na te części materiału, których autentyzm był niezaprzeczalny, poeta wybrał szereg faktów, co do których historia stawiała tylko hipotezy, i na tej wdzięcznej kanwie utkał częściowo własną koncepcję węzła przyczyn, w rezultacie których nastąpił historyczny fakt zamachu na Darnley'a i jego śmierci pod gruzami wysadzonej w powietrze willi koło Edynburga w r. 1567.

Powołując do życia postacie dramatu: królowę Marię, Darnley'a, Mortona, Rizzia, Botwela, Douglas'a, Lindsey'a, Nick'a, pazia i Astrologa, poeta w rysunku ich charakterów i psychiki był znacznie bliższy autentyzmu epoki niż w tych partiach dramatu, które musiał wypełnić fantazją. Ludzie połowy XVI w. — to synonim niezrozumiałych prawie dla nowoczesnego człowieka, skrajnych sprzeczności. Literatura zajmująca się owymi czasami, usiłując rozwiązać zagadkę „tamtego człowieka”, nie dochodzi nawet do tajemnicy jego „chemicznej” formuły. Jakżeż bowiem pogodzić pobożność Marii Stuart z jej zmysłowością, która właściwie była po prostu rozpustą? Jak zważyć w logiczną całość jej subtelność i delikatność obok zbrodniczości, cynizmu i brutalności? Czy owe wzajemnie wykluczające się cechy były atrybutem wyłącznie charakteru bohaterki dramatu? Nie. Brzd moralny i wewnętrzna dzikość to znana właściwość ludzi epoki Marii Stuart. Właściwość idąca równolegle ze zdobycami wieku Odrodzenia; to — czasy wczesnego Szekspira i Bacona, a równocześnie epoka błota duchowego; to — miłość czysta a jednocześnie rozpasanie najniższych instynktów. Bohaterowie „Marii Stuart” w większości odzwierciedlają te niezrozumiałe dla nas doprowadzone do skrajności niekonsekwencje budowy duszy ludzkiej. To zaś, poeta zdołał z ogromną wyrazistością pokazać wszystkie te sprzeczności, przenikając twórczym spojrzeniem mrok i obcość tamtych czasów. Jest dowodem, że natchnienie jego dotknęło owego pierwiastka ludzkiej nautry, który jest w człowieku wieczny. Nazwać go — zdaje się — należałoby poprostu: dobro i zło, wzajemnie wykluczające się i wzajemnie współzyskujące przez wieki. Być może, iż Słowacki świadomie pod te uogólnienia podstawił wielkości bardziej pulsujące życiem: miłość i zbrod-

(Dalszy ciąg na str. 2-jej).

## TREŚĆ NUMERU:

STEFAN WOLSKI  
MARIA STUART  
WOJCIECH NATANSON  
KRAKÓW A JERZY SZANIAWSKI  
NARCYZ ŁUBNICKI  
AMICUS CRITICUS, SED MAGIS  
AMICUS CRITICISMUS  
LIRYKA SERBSKA w przekładach  
St. K. Papierkowskiego  
ALEKSANDER OLKIEWICZ  
POWRÓT  
ZDZISŁAW PAPIERKOWSKI  
KRYMINALISTA  
MARIAN MORELOMSKI  
ORESTEJA W WARSZAWSKIM  
TEATRZE POLSKIM  
JANINA PLISZCZYŃSKA  
KWESTIA WYCHOWAWCZA  
W „SZCZENIAKACH”  
Recenzje książek



ANTONI RÓŻYCKI

Znany aktor, z pokolenia tych największych ludzi polskiego teatru, dyrektor Teatru Miejskiego w Lublinie, obchodzić będzie w dniu 8 maja br. 40-lecie swojej pracy sceniczej. Dyrektor Różycki wstąpi w utworze Jerzego Szaniawskiego p. t. „Adwokat i róża”.



nię. Wielkości zaś te dźwigają bohaterowie dramatu jak piętna, a w retoryce ich czynów raz po raz zmienia się one w kierunku uwznioślenia lub zohydzenia miłości, albo — potępienia lub usprawiedliwienia zbrodni.

Maria — królowa to kobieta, którą — jak było powiedziane — rozpustny dwór francuski zdeprawował. Nieuksztaltowany charakter, słaba wola, luźna podstawa etyczna, chorobliwie wybujała zmysłowość — oto fundament, na którym wyrosła zbrodnia. Kobieta piękna, rozciągająca koło siebie czar czysto zmysłowy, wyposażona w delikatniej lub mocniej zarysowane cechy deminizmu — oto zamieszkała zła i niepokoju zmysłowego. Egoistka, dumna, próżna lecz tchórzliwa. W decydującej chwili obawia się wypowiedzenia słowa, którym naładowana jest wewnętrznie: zabij! (...), chciej mnie zrozumieć — błagam! Czyliż duszy skrytość mam wyjawiać słowami, choć wiem, że ta mowa sumienie mi obarczy — z echem nie płynię!.. Powiniem zginąć!..“.

Botwel z igraszką demonicznej ironii wyciska z niej to słowo, pytając: „kto?“.

Jak ciężko było wyrzec to co stało się następnym ogniwem zbrodni: „Król!“

Maria jest arcyobłudna. Botwel szydzi z niej, mówiąc: „Więc udawaj, że czytasz — udawaj przed Bogiem! Jeśli Bóg nie pochwali, człowiek cię pochwali.. Niejedem powie: „Patrzcie, ma świętość anioła! Ta kobieta przed śmiercią już świętą zostanie. — Promień światłości wkrótce wystrzeli z jej czoła; Patrzcie! Ona się modli za męża skonanego... „O Mariu! Porzuć trwogę i płochę przesady! Jeżeli Bóg ma sądzić, już zapadły sądy...“

Jest w tym szyderstwie wielka prawda psychologiczna. Ludzie moralnie upadli chętnie przywdziewają ów płaszcz ochronny pozorów, ażeby wythumaczyć się bodaj przed własnym spojrzeniem wewnętrznym.

W ujęciu Słowackiego dalsza postać dramatu: Rizzio jest człowiekiem o niskim charakterze, który pogłębia przepaść między małżonkami, dyskretnie usiłując wpłynąć na królową w kierunku krwawego rozprawienia się z ludem. Ma on ochotę wywrzeć większy wpływ na losy państwa niż może to uczynić normalnie nadworny Włoch-lutnistą. Jednakowoż decydująco oddziaływała na losy królowej demoniczny Botwel. Jest to typ z wyrachowaniem kroczący drogą zbrodni, wyposażony w silną wolę (w przeciwieństwie do Marii i Henryka, a właściwie — i do pozostałych postaci dramatu).

Klasycznym przykładem rozbieżności dobrych i złych cech jest Douglas. Dumny rycerz, mający duże zasługi jako dworzanin, potrafi być jednocześnie brutalnym wobec królowej i w przystępie mściwości z zimną krwią morduje Rizzia.

Specjalną uwagę zwraca postać dworaka Mortona. Chytry, okrutny, ostrożny — on jeden wybiega poza krąg zbrodniczych knozań, opartych na motywie zemsty i zazdrości o miłość i o władzę, i on tylko spokojnie waży skutki zamierzonej ucieczki Rizzia: możliwości dywersji politycznej jaką może on zrobić na katolickim dworze Francji lub na dworze papieża. Licząc się z tym, podnieca mściwe uczucia Henryka i Douglasa aż uzyskuje taki poziom wrzenia, iż już nie ulega kwestii, że Rizzio zginie. Oto dwulicowy mąż stanu, który nie pali za sobą mostów na wszelki wypadek, bo ostatecznie nie wiadomo jak potoczy się dalek bieg wypadków. Odnajdujemy w nim bez trudu wcielenie polityka, który po przewrocie okresu reformacji usunie w cień władzę królów, czyniąc ją mniej więcej czczą formalnością.

Środowisko tych nędznych dworaków — to, w oświetleniu Słowackiego, gniazdo zła, pomnożone o głowę królewskich małżonków. To — w nawiązaniu do historycznego aspektu dramatu — ostatni mohikanowie kończącego się świata feudalnego którzy — jak każda zamierzająca siła społeczno-polityczna — przed zgonem pożerają najprzód własne ciało.

Czy zbrodniczą parę: Marię i jej kochankę dosięgnie kara? Słowacki tego nie mówi. Ale kara będzie. Zapowiada ją głos ludu. „Straszne okrzyki ludu w tę noc zbrodni ciemną“ powiada Botwel z niejakim lękiem i porywa za sobą swą ofiarę: królową, której posiadał duszę. „...Chodź ze mną!.. Chodź ze mną!..“, woła ją niczym szatan.

W tej posępnej atmosferze zbrodni i nieustannej grozy znajdujemy odpręże-

nie w postaci paza Marii Stuart. Jest to niejako kwiat na pustyni, wcielenie czystej miłości i niewinności. W tej postaci i w niektórych partiach wyznań Rizzia (ostatnia scena 2 aktu) poznać można bez trudu samego Słowackiego. (Sam zresztą poeta wyznaje to w liście do matki z 9. 11. 1832 r.). Inna postać (zmysłowa) dramatu: Nick przykuwa uwagę kontrastem swej konstrukcji. Szlachetne, wierne serce człowieka pochodzącego z ludu. Słowacki kryje te dodatnie, romantyczne cechy bliźni pod maską śmiechu. Nick kochał swego pana, małżonka Marii, i pracował nad tym, ażeby wyrobić w nim meskość, szlachetność i siłę woli. Obserwując z perspektywy zdrowego rozsądku to co się działo na dworze Marii Stuart, rozumie do jakiej tragedii prowadzi spłót przeciwnych namiętności, które opętały rodzinę królewską i jej otoczenie, i dobrovolnie wypija truciznę podaną Henrykowi, ażeby go ocalić dla ludu, któremu król w przełomowych chwilach walki jest potrzebny. W obliczu zbliżającej się śmierci Nick wypowiada gonzące słowa potępienia pod adresem próżnego, ekskluzywnego i bezwartościowego społeczeństwa dworskiego: „Panowie mogą smutek głosić jękiem, płaczem, nędzarz śmiać się potrafi — potrzebuje chleba...“ Tragiczny dźwięk mają te słowa konającego bliźni. Wydaje się jakby obok niego wynikała z mroku zbrodni gniewna twarz sprawiedliwości i kary.

Na specjalną uwagę zasługuje fakt, że Słowacki pisząc „Marię Stuart“ liczył 21 lat życia. Miał on już coprawda za sobą szereg utworów epickich jak: „Hugo“, „Mnich“, „Jan Bielecki“; miał poza sobą pierwsze próby literackie: „Duma ukraińska“, „Sonety miłosne do Ludwiki“ i poemat „Szafary“, nie zmienia to przecie faktu, iż „Marię Stuart“ pisał młodzieńcem, który mimo sporego ładunku odczytania (mając zaledwie 8 lat czytał już Iliadę Homera, Plutarcha i Niemcewicza) i marzycielstwa, nie posiadał jeszcze bogactwa przeżyć dojrzałego człowieka. Patrząc na życie i ludzi od strony przewrażliwionej duszy spojrzeniem klasycznego uczuciowca, nie mógł zgłębić zagadki psychiki i myśli kobiety. Na tle nie-szczęśliwej miłości do Ludwiki Śniadeckiej uformował się w jego dojrzejącej dopiero psychice kompleks, którego wyrazem w codziennym życiu była niechęć do kobiet a w bujnym przeżywaniu we-

wnętrznym niezaspokojona nieczym ciękawość poznania prawdy o duszy niewiasty.

Być może, iż te właśnie czysto osobiste momenty wpłynęły decydująco zarówno na wybór tematu do drugiej skolei tragedii (pierwszą była „Mindowe“), jak również na rozwiązanie koncepcji w kierunku psychologicznym; poznania tajemnicy duszy kobiety: Marii szkockiej. Jej przeciwieństwo autor poświęca gros swoich myśli, czyniąc ją osią dramatu, około której pozostałe osoby skupiają się rysunkiem raczej szkicowym, a i to ujętym z punktu rozważania ich stosunku do Marii. Ileż razy odnajdujemy w Marii Stuart uosobienie Ludwiki Śniadeckiej, a w Rizzio i paziu wyraz myśli i uczuć samego Autora (przytoczony wyżej list do matki). Fakty te wystarczająco przemawiają za słusznością naszej tezy.

Rezultatem więc spojrzenia na wczesny utwór dramatyczny Słowackiego od strony jego aspektów historycznych i osobisto-psychologicznych jest wniosek, że poeta mimo pozorów obiektywizmu tematu potraktował wysoce subiektywnie, używając historii Marii Stuart właściwie za pretekst do wypowiedzenia szeregu własnych myśli i uczuć. Jak się stało, że mimo to dramat Słowackiego nie stracił na walorze historycznym i na prawdziwie psychologicznej ludzi połowy XVI w. — jest tajemnicą geniuszu poezji i wielkiego talentu dramatycznego. Talent ten w „Marii Stuart“ znalazł nie tylko zaspokojenie dla egotycznych spraw poety, ale przede wszystkim stał się pozycją bodającą przełomową w historii polskiego dramatu poetyckiego. Mimo bowiem, iż Zachód miał już za sobą wielkiego Szekspira, w Polsce sprawa ta leżała odłogiem. Honor problemu ratuje jedynie „Barbara Radziwiłłówna“ Felińskiego (1811 r.), bo wcześniejsze dramaty wskutek mienaturalności, przesady, braku wewnętrznej jedności, mapuszystości stylu i innych obciążały pseudo-klasycyzmu trudno nazwać wartościową pozycją. Bohaterowie ich podobni byli bardziej do lalek wyprutych z krwi niż do żywego człowieka. A Słowackiego bohater — to człowiek żywy, prawdziwy, podobny ciałem i duchem do przeciętnej śmiertelnika. Sam zaś dramat w swej budowie zewnętrznej — to rzecz zupełnie już bliska nowoczesnego rozumienia utworu scenicznego. Coprawda w „Marii Stuart“ Słowacki korzysta

z doświadczeń technicznych pseudo-klasycyzmu jednak postępuje majzupelniej dowolnie ze sztywnymi prawdami. Nie przestrzega jedności akcji, gdyż w dramacie są właściwie dwie akcje (dramat Rizzia i dramat Henryka jako dwie tragedie odrębne). Natomiast łącząc te dwa dramaty logicznym związkiem przyczynowym poprzez postać Marii, poeta uzyskuje wiążącą jedność osoby. Najzupełniej swobodnie rozprawił się autor z jednością miejsca. Akcja bowiem poszczególnych aktów przenosi się z miejsca na miejsce wbrew świętym i niemaruszelnym regułom pseudoklasyków. Jedynie w jedności czasu Słowacki był zgodny z prawdami, skupiając sumę wypadków do okresu dwóch dni. Nastrój dramatu operujący między romantyczną rzewnością i tęsknością a mrojącą krwawą grozą — to już czysta domena zdobywcy romantyzmu. Słowacki „byromantuje“ w sposób mistrzowski.

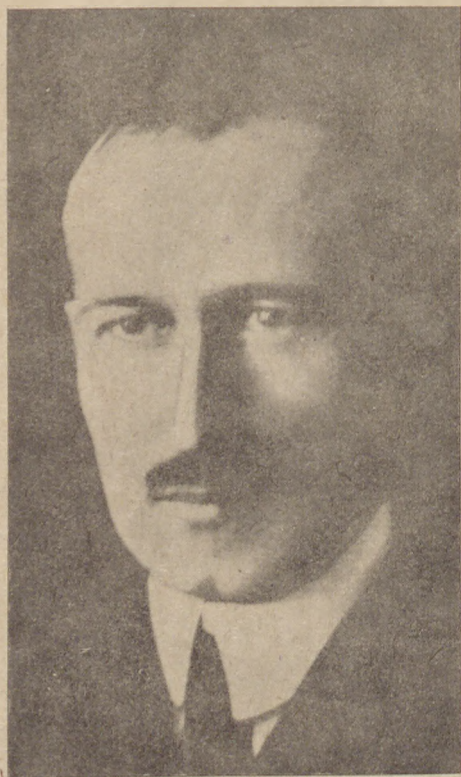
Streszczając powyższy wywód, należałoby dojść do generalnego wniosku, że Juliusz Słowacki w aspekcie historycznym oscylował między fatalizją romantyczną a autentyzmem tragedii Marii Stuart, a w ujęciu psychologicznym, aczkolwiek zbliżył się do prawdy ludzi na tle epoki, to jednak w rozwinięciu problemu zbrodni i kobiety nie znalazł odpowiedzi na subiektywnie zasadnicze dlań pytanie: kim jest właściwie kobieta — „istota nieznamą“. Autor pozostał sam z dręczącym go niepokojem i niedoświadczeniem. W sumie „Maria Stuart“ nie jest w dorobku twórcy „Króla Ducha“ pozycją zwracającą żywą uwagę. W historii jednakże dramatu polskiego — biorąc chronologicznie — jest niewątpliwie dziełem przełomowym. W tym leży jej wartość nieoprzejmająca, przorstająca wiek pisałęcego jej strofy, jego wewnętrzne rozterki i urazy, a nawet wartość pozanacjonalnego wycucia ludzi i czasu epoki.

Dramat ten może i powinien gościć na scenach współczesnego teatru polskiego. Właściwie, celne zbliżenie go do nowoczesnego odbiorcy sztuki specjalnie w tym wypadku zależy od inscenizacji i reżyserii jak również od dekoracji i kostiumów. „Maria Stuart“ zawsze pozostanie bardzo wdzięcznym polem do popisu dla tego działu pracy teatru tak samo jak kreacja postaci tragicznej królowej pozostanie dla artystki niezmiernie wielką szansą.

Stefan Wolski

WOJCIECH NATANSON

## Kraków a Jerzy Szaniawski



Na przełomie 19-go i 20-go stulecia miasto Kraków było miejscem, które skupiało na sobie oczy całej Polski. Tu w atmosferze względnie swobodniejszej, pracował Uniwersytet i Akademia Umiejętności, tu wspaniale rozwinęła się literatura, sztuki plastyczne i teatr. Z całej Polski, z Warszawy skrepowanej uciskiem carskim, z Poznania dyszącego pod pruskim butem i z reszty kraju płynęły pielgrzymki do Krakowa, by ujrzeć nowe sztuki teatralne, na które gdzieindziej nie pozwalała cenzura.

Jerzy Szaniawski wspominał te wędrowki we wzruszającym wspomnieniu, które w roku ubiegłym nakreślił z okazji jubileuszu Solskiego.

Po roku 1918, w wolnej już Polsce, znalazł Kraków zjawiska odpływu. Był jeszcze ciągle kolebką talentów i wiecznym żywym środowiskiem nowych artystycznych idei. Ale wielu artystów, ledwie porośszy w piórka, uciekało do Warszawy. Krakowianie, wbrew temu co się mówi, nie są wcale szowinistycznie nastroszeni. Lubią wyśmiewać własne miasto, rozkoszują się ironią na swój własny temat. Stanisław Wyspiański, powiedział: „Kraków trzeba zamknąć, klucze oddać dyrektorowi Muzeum Narodowego, p. Koperze, — i wybudować nowy Kraków, gdzieś w okolicach Zakopanego“. I tym może sceptycyzmem tłumaczy się odpływ Krakowian w wolnej Polsce — ku miastom innym, bogatszym. Ten ruch nie był zresztą zjawiskiem ujemnym. Przeciwnie: cieszyli się nim rozumni krakowianie, gdyż wierzyli, że wychodzi on na korzyść Polski.

Druga wojna światowa nie zniszczyła Krakowa. Nie zniszczyła — pozornie. Pozostały budynki, ocalały cudowne mury o bezcennych proporcjach. Ale straty w ludziach ponieśliśmy dotkliwie. W artystów i uczonych godziła przede wszystkim ręka niemiecka. „Sonderaktion Krakau“ na Uniwersytecie i pamiętna łapanka w kawiarni Plastyków, były tego najmówniejszym dowodem. Tyle charakterystycznych dla Krakowa, twórczych postaci — pochłonięta wroga okupacja.

Tym cenniejsza była powtórna fala przypływu jesienią i zimą 1945 roku. Ar-

tyści i pisarze, którzy w Krakowie schronili głowy — pracują dla dobra całego kraju. My, krakowianie, chcielibyśmy — by mogli oni pracować dla miast zrujnowanych i spalonych, a zwłaszcza dla Warszawy, — którą każdy prawdziwy patriota krakowski kocha może nawet i goręcej niż miasto rodzinne. Wśród tych gości, którzy do nas przybyli — znalazł się także Jerzy Szaniawski. Z jego wśród nas obecności jesteśmy radośni i dumni; i tej radości i tej dumy dało miasto wyraz, przyznając Szaniawskiemu doroczną swą nagrodę literacką na rok 1946.

Kraków instynktownie kochał zawsze utwory Szaniawskiego. Wszystkie jego sztuki miały u nas ogromne powodzenie. Wyczuwano może jakieś pokrewieństwo i bliskość między duchem tych sztuk, a krakowską tradycją, i stylem. Te sztuki są mało mówne i nieraz najmocniej odzywają się swoim milczeniem, a właśnie mury Krakowa mają taką samą wymowę milczenia. Te sztuki wybiegają swoją formą i myślą naprzód, były prekursorskie, przełomowe; i miasto nasze także, mimo swych tradycyjnych ukochań, sięgało ku przyszłości, ku reformom, ku naprawie. Juliusz Słowacki nazwał przecież Kraków „płomienistym skrzydłem Polski“.

Świat twórczości Szaniawskiego łączy głęboki nurt uczuciowy i moralny z badawczą, czujną i krytyczną myślą. Taki dualizm jest i krakowianom bliski.

Gdy przed wojną, w pewnym paryskim domu wszedł na salę poeta Paweł Valery, podnieśli się wszyscy na znak szacunku: ministrowie i ambasadorowie, piękne panie i dygnitarze. Francuzi chcieli w ten sposób uczcić wieczystą moc poezji. My, tu w Krakowie, wartość poezji znamy. I wiemy, że przezwyciężyć ona zdoła nawet takie nawałnice barbarzyństwa, jakie przyniosła za sobą droga światowa wojna. To jeszcze jeden dowód zbliżenia między Szaniawskim a nami.



NARCYZ LUBNICKI

# Amicus criticus, sed magis amicus criticismus

Artykuł mój pt. „Materializm a idealizm (III). Stanowiska religijne<sup>(2)</sup> nasunął p. J. Pliszczyńskiej<sup>3)</sup> szereg refleksyj.

## POBOŻNY EPIKUR

Epikur nie był ateistą, bo uznawał istnienie bogów, dowodzi szanowna Polemistka.

Do twierdzenia, że Epikur uznawał istnienie bogów nie potrzeba było ani „efleksji, ani poszukiwań w pismach badaczy filozofii Epikura. Wystarczyło uważnie przeczytać rozdział mego artykułu, zatytułowany „Walka wiatraków”, gdzie piszę dosłownie: „Epikur sprowadza bogów do ugrupowania subtelnych atomów, ale nie neguje całkowicie ich istnienia”. Polemiczny dowód zatem, przeprowadzony przez mego szanownego Krytyka z nie małym nakładem sił (z dłuższą cytata A. Krokiewicza i listu samego Epikura) ukazuje się całkiem zbyteczny, bo nie wiadomo, co zwalcza, skoro „kontrteza” Krytyka tak sumiennie umocniona figuruje jako teza w mojej pracy.

Tyle co do zagadnienia uznania bogów przez Epikura. Co innego, gdy chodzi o to, czy Epikur był ateistą. Dowodu tej tezy Oponentka nie podała i podać nie mogła, bo taka lub przeciwna kwalifikacja Epikura uzależniona już jest nie od faktycznych danych, lecz od definicji wyrazu „ateista”. P. Pliszczyńska liczy się tylko z etymologicznym, często zewnętrznym znaczeniem tego wyrazu (a-theos): werbalny stosunek do Boga (bogów) kwalifikować ma myśliciele jako teistę lub ateistę. Sądzę, że takie stanowisko jest płytkie. Trzeba wziąć pod uwagę cały system, zbadać jak dalece deklamacja o Bogu (bogach) wiąże się z tym, co nazywamy duchem systemu; czy nie jest czasem czymś przypadkowym, wynikłym z tradycji i przyzwyczajenia, może nawet czymś przymusowym (czego dowody mieliśmy w niejednej doktrynie zagrożonej przez fanatyzm religijny). Dopiero takie głębsze ujęcie systemu myślowego uprawnia do poprawnego zakwalifikowania go. Otóż z tego punktu widzenia cały system Epikura — nawskroś materialistyczny i mechanistyczny, uznający nawet bogów za skupiska atomów, zresztą wyłączający bogów z jakiegokolwiek udziału w dziejach świata, co więcej — nawet wyraźnie przeczący nieśmiertelności duszy, która (zbudowana również z atomów) rozkłada się i ginie wraz z ciałem, — system ten, powtarzam, jest wyraźnie ateistyczny. Nie ufam etymologii w dziedzinie filozofii. Zresztą sam wyraz „filozofia” (dosłownie „zamiatanie do mądrości”) przecież nie jest usposobieniem uczuciowym, jak wynikałoby z analizy etymologicznej, lecz dziedziną teoretyczną, w pewnej partii nauką. Nie wolno operać rozumowania na etymologii. Nazwałem w swym artykule ateizm „materializmem w dziedzinie religii”. I w tym znaczeniu zaliczyłem filozofię Epikura do poglądów ateistycznych. Czyż można zaprzeczyć temu, że system Epikura, rozpatrujący dusze ludzkie i bogów, jako grupy materialnych atomów, jest „materializmem w dziedzinie religijnej”?

## ADORACJE I ADOROWANI

P. Pliszczyńska przytacza następujący ustęp mego artykułu, w którym omawiam wartość uczuć religijnych: „są one potrzebne pewnemu typowi ludzi po to, by mogli w sposób bardziej sensowny i pełny ułożyć sobie życie, by czuli nad sobą opiekę w chwilach niedoli... — i dochodzi do wniosku, że według mnie tylko „słabi” potrzebują religii, „mocnym” ona nie jest potrzebna. A przecież (i tu szanowna Polemistka rozwija dialektykę, jakiej pozazdrościłaby Jej — o horrendum! — marksiści): w „słabości” jest „moc”, a w „mocy” — „słabość” — itd.

Próżne rozszczepianie włosa. „Typ”, który miałem na myśli — to ludzie **bezkrytyczni**, ludzie, poszukujący sensu i wartości swego życia na zewnątrz doświadczenia ludzkiego — gdzieś w urojonych zaświatach — dlatego że nie umieją sobie stworzyć celów własnych, ludzkich, i ponosić za nie odpowiedzialność. To ludzie o etyce nieautonomicznej, niewy-

pracowanej „od wewnątrz” narzuconej przez ich własne urojenia.

Moja szanowna Oponentka wskazuje na potrzebę adoracji, jako na istotny moment w genezie przeżycia religijnego. Oczywiście, gdzie jest kult religijny, tam jest adoracja. Ale wszędzie towarzyszy jej i strach (który, żeby nie obrażać uszu wiernych, nazwijmy czcigodnie „bojaźnią bożą”...). Czy jednakże stwierdzenie przeżywania adoracji czy strachu jest argumentem na korzyść istnienia przedmiotu tych przeżyć?

Fenicjanie wierzyli w krwiożerczego Molocha: adorowali go, rzucając mu dzieci na pożarcie i bał się go panicznie. Czy to dowód, że taki Moloch istniał? — Egipcjanie uważali, że faraon jest pochodzenia boskiego i padali przed nim z czcią i grozą na twarz (odpowiednik do „padania na kolana”, o którym pisze p. Pliszczyńska jako o przejawie adoracji); czy ślad wniosku, że faraon istotnie był synem bogów? I że synem bogów jest dzisiejszy bezrobotny Mikado, dlatego że do niedawna wierzyli, a może i teraz jeszcze wierzą w to Japończycy?

W stanie adoracji znika zdolność krytycznego myślenia, a pozostaje tylko potężne uczucie, smagające rumaka wyobraźni. Tak powstają wszystkie hipostazy, wszystkie halucynacje ekstazy, wszystkie „wizje”. Nie wymagam wiele. Wymagam tylko elementarnego krytycyzmu, każącego nie przypisywać każdemu przeżyciu cudownej własności „chwytania” rzeczywistości tylko z tej racji, że przeżycie jest intensywne i sugestywne. Przypomnijmy sobie własne lata szczenięcia i adorację jakiejś „nieziemskiej istoty” z sąsiedniego gimnazjum. Czy nie rozwiewa się z czasem nasze doprawdy wstrząsające przeżycie, a przedmiot jego czy nie okazuje się czymś zwykłym, zgoła różnym od naszego wierzenia? „Pies, — mówi jeden z bardzo wpływowych filozofów (wole nie zdradzić kto...), — poznaje w swym panu swego Boga, choć pan ten może być ostatnim łajdakiem”.

## PIĘKNO REALNE I PIĘKNO BEZWZGLĘDNE

Moja szanowna Oponentka broni „realistyczności” przeżyć religijnych przy pomocy słabszej tezy o „realistyczności” uczuć estetycznych. Wystarczy zajrzeć do pierwszego lepszego podręcznika psychologii (np. do II tomu „Psychologii” Witwickiego), by stwierdzić, że uczucia estetyczne tym się (m. in.) różnią od uczuć etycznych lub intelektualnych, że można ich doznawać nawet bez subiektywnej wiary w istnienie przedmiotu przeżycia, byleby tylko wyglądał „ujmująco”. Jeżeli argumentem o niebezprzedmiotowości uczuć estetycznych miała moja szanowna Dysputantka podeprzeć tezę o takimże charakterze uczuć religijnych, to próba Jej okazała się stanowczo chybiona.

A może ogólnikowe i niejasne twierdzenie, że nie można uznawać wartości uczuć estetycznych „bez pozytywnego stosunku do piękna” ma oznaczać, że piękno należy uważać za Absolut, by cenić estetyczną postawę wobec przedmiotów spostrzeżeń naszych i wyobrażeń? — Zdaje się, że wystarczy zapoznać się choćby najpowszechniej z badaniami psychologicznymi i etnologicznymi na ten temat, ażeby odrzucić taką tezę, jako fantastyczną. Dzieci i ludzie niewyrobieni kulturalnie doznają przeżyć estetycznych wobec przedmiotów, które dla nas są wulgarne, a niekiedy nawet odrażające (np. dowcipy upstrzone wyrażeniami skatologicznymi lub brukowce z cynicznymi i brutalnymi Waldemarami, „Wenus pigmejska” przyprawiałyby o mdłości niejednego estety — Europejczyka, — ale pewnie i odwrotnie! — Zresztą wystarczy przyjrzeć się temu przewrotowi, jaki zaszedł w ostatnich czasach w gustach przeważającej części artystów, krytyków i publiczności (odwrócenie się od realizmu i modernistycznego romantyzmu na rzecz jakiegoś — dla niejednego jeszcze niestrawnego — futurizmu Picassa lub Aragona). Mówić o pięknie bezwzględnym, obowiązującym po wszystkie czasy i we wszystkich miejscach znaczy — pomijać rzeczywistość i nadawać bezpodstawnie własnej fanta-

stycznej konstrukcji cechy rzeczywistości. Czy takie stanowisko można nazwać krytycznym?

## BOSKA HARMONIA WSZECHŚWIATA

Zasadniczy postulat krytycyzmu każe nie przechodzić nad najpoważniejszymi zarzutami do porządku dziennego, pomijając je wstydliwym milczeniem. W artykule moim podany został cały szereg zarzutów natury logicznej, teoriopoznawczej i etycznej przeciwko stanowisku dogmatycznemu. W dyskusji tak zasadniczej jak ta, którą podjęła moja szanowna Polemistka, nie wolno było przejść do porządku dziennego nad tymi wszystkimi — trzeba przyznać — niebywale ważkimi argumentami ateistów — jeżeli nie będącymi w stanie dowieść nieistnienia Boga, to w każdym razie dowodzącymi znikomości lub wręcz fałszywości dowodów dotychczasowych Jego istnienia, a nawet sprzeczności w ujęciu Jego istoty. Pani Pliszczyńska nawet nie potrąciła o tę niebezpieczną część artykułu. Wolała powołać się na dowód fizyko-teleologiczny istnienia Boga, dawno zdyskredytowany przez Kanta.

Czy istotnie wszystko w świecie zbudowane jest tak absolutnie celowo, tak harmonijnie i doskonale jak wierzy p. Pliszczyńska? Być może nie straciła nikogo bliskiego zatorturowanego w więzieniu śledczym lub w obozie koncentracyjnym przez naszych niedawnych gospodarzy. Ale czy nie widziała pieców krematoryjnych i komór gazowych? Czy nie słyszała o kilometrowych rowach wypełnionych po brzegi pochowanymi półżywo, niedostrzelonymi ludźmi? O głowie więźnia, zanurzonej butem SS-mana w kałużę aż do ostatnich drgawek duszącą się człowieka? O abażurze i rękawiczkach z ludzkiej skóry, o mydle z ludzkiego tłuszczu?

Kiedyś Dostojewski, pisarz i myśliciel głęboko religijny mówił ustami Iwana Karamazowa: — „Jeśli na świecie jest choć kropelka bezmyślnego cierpienia, jedna choćby łza dziecka, bezwinnie zagryzionego przez psy, — nie chcę takiego świata i zwracam Bogu bilet na wejście do „harmonii uniwersalnej”... — Czyż nie a nie z tych wątpliwości nie obudzilo się w myśli i sumieniu p. Pliszczyńskiej? Czy można tak bezkrytycznie zamknąć oczy na całe, potworne nieraz, zło świata i powtarzać z uporem: — Tak, tak. Wszystko jest harmonijne, piękne, doskonale.

Ale być może przynajmniej taka boska harmonijność, ład i celowość istnieją w czysto fizycznym obliczu świata, jak sugeruje nam nasz szanowny Krytyk? Zobaczmy. Biorę do ręki niedawno czytana książkę: nr 9 (10) „Problemów”. Odnajduję tam artykuł Władysława Szumowskiego, profesora historii i filozofii medycyny w Uniwersytecie Jagiellońskim. pt. „Czy natura ludzka jest mądra?”. Autor pokazuje w nim sposób istotnie krytyczny, że są zjawiska przyrody, które moglibyśmy nazwać celowymi, ale są i takie, które nazwalibyśmy niecelowymi, a nawet takie, które musimy uznać za bezmyślne i potworne. Istnieje w biologii cała gałąź, studiująca monstrualność przyrody: tzw. **teratologia** (nauka o potworach). Czego tam nie znajdziemy! Opisy płodów bezmózgich, dwugłowych, o wielu rękach i nogach: dzieci bezrękich lub jednonogich, z rozszereżonym kręgosłupem lub zrośniętą kiszka odchodową; ludzi dorosłych z... rogami na głowie etc.

Czy te zjawiska przyrody należą do owej boskiej harmonii, którą opiewa p. Pliszczyńska? A katastrofy kosmiczne? Rozpadnięcie się całych światów w przestrzeniach międzygwiazdowych? A kataklizmy ziemi? Wyginięcie olbrzymiej liczby gatunków kopalnych? A starzenie się organizmów? A pożeranie się wzajemnie różnych gatunków i walki między jednostkami tego samego gatunku — zwłaszcza ludzkiego? Po wszystko jest dobre? To wszystko świadczy o „boskim ładzie” w przyrodzie?

Zła jest, zdaje mi się, taka postawa wobec życia, błogosławiąca każdej jego podłości. To już nie jest nadludzkie Chrystusowe „niesprzeciwianie się złu”, to — w ogóle niewiedzenie zła: nałożenie sobie

różowych okularów i uśmiechanie się błogie na widok różowych katów i różowych powieszonych.

Sądzę, że nie owino zamykać oczu na zło, że zadaniem godnym człowieka jest szlachetna walka ze złem — z cierpieniem, krzywdą — w imię tego, co uważamy za dobre: w imię radości i braterstwa.

## NAUKA ODKRYWA BOGA

Krytycyzm i (żeby przemówić do sumienia) „sprawiedliwość logiczną” wymagają **obiektywizmu** przy rozpatrywaniu zagadnień. Tego nie widzimy w postawie słomniczej szanownej Dysputantki. Z mego lojalnego twierdzenia, że nie można dowieść ani istnienia, ani nieistnienia Boga, ponieważ wszelka teza o Bogu jest natury metafizycznej (opiera się na wierze), p. Pliszczyńska przyjęła skwapliwie jedną tylko stronę wygodną dla swego stanowiska, a bez skrupułów odrzuciła drugą.

Istnienia Boga można dowieść na drodze nauki, twierdzi mój szanowny Krytyk — i wyprowadza ze współczesnej nauki o budowie materii... **nieoczekiwany** wniosek, że „Na początku było Słowo (Logos)”! Jakimi drogami biegła myśl szanownej Dysputantki, gdy popełniła tak horrendalny skok we wnioskowaniu? Dlaczego energetyczna budowa materii ma być utożsamiona z mistycznym, osobowym, **odrębnym od świata Logosem**? Gdzie tu miejsce na teologiczne wnioski, skoro Haeckel na przykład z energetyzmu materii wyprowadza właśnie swój ateizm, materializm i mechanizm? — I nie pomogą tu żadne pseudo-naukowe zwroty, usiłujące przedstawić dzieje biblijne w nowoczesnej szacie naukowej — takie jak na przykład „dotknięcie elektryczne Stwórcy” mające wlać życie w Adama. Nie rozumiemy zupełnie, co to ma znaczyć: alegoria? metafora?, czy nowy rozdział fizyki?!

W pewnym miejscu swego artykułu szanowna Apoletka daje nam do ręki właściwy klucz do zrozumienia mechanizmu Jej rozumowania. „Człowiek głęboko wierzący” — pisze — „będzie i musi łączyć zawsze do naukowego uzasadnienia i dowiedzenia prawdziwości swego wierzenia”.

— Jakto — więc najpierw niewzruszone dogmaty wiary, a później dobieranie do nich **par force** lepiej lub gorzej dających się zastosować argumentów? **Nie sprawdzać** wierzeń, lecz ich wszelką ceną dowodzić? Ależ to jest prawdziwa scholastyka — szczyt dogmatyzmu! — Oczywiście, przy takiej metodzie myślenia, kiedy żadne argumenty nie mogą obalić z góry powziętych, niewzruszonych dogmatów, ale mogą nadać im pozór prawd, wyprowadzonych drogą racjonalną — dyskusja staje się widowiskiem kukielkowym, gdzie żyją i działają nie widzialni „artyści”, lecz niewidoczne palce i sznurki, poruszające się w myśl z góry przesadzającej akcje i treść sztuki marionetkowej.

Może tym należy sobie wytłumaczyć dziwne aprioryczne stanowisko wielbieli (jak widać z artykułu) nauk przyrodniczych wobec procesów przyrody. Na jakiej rozsądnej podstawie naukowej przyjmuje p. Pliszczyńska absolutny nieprzekraczalny dualizm, między światem „organicznym” a „nieorganicznym” — wbrew wszystkim nowoczesnym odkryciom naukowym, zacieraającym coraz bardziej granicę między materią „żywą” a „martwą”? Argument, że wirusy są już ukształtowanymi organizmami, zawiera **petitionem principii**, bo przemycając słówko „organizm” zakłada właśnie to, czego należy dowieść: że **krystaliczna postać rozmnażających się wirusów jest postacią pozorną!** Skąd cierpienie szanowna Dysputantka pewność, że przejście od świata nieorganicznego do organicznego pozostanie na zawsze tajemnicą bożą? I czy nie ma w tym twierdzeniu sprzeczności ze stanowiskiem własnym wobec charakteru energetycznego materii, który szanowna Dysputantka rozpoznała natychmiast jako Logos, czego nie byłaby przecież w stanie uczynić przed stu laty!...

(Dokończenie na str. 6-ej.)



# LIRYKA SERBSKA

w przekładach Stanisława K. Papierkowskiego

JOVAN DUCIĆ

## Z „Sonetów Jadrzańskich“

I.

Tylko ja i żagiel ponad martwą tonią,  
Niespokojni, mroczni, jednakowo niemi!  
Noc ... I wonny wietrzyk zapach niesie ziemi,  
I obłoki cicho po niebie się gonia.

Jak daleko ziemia: próżno wzrok w oddali  
Szuka jej po morzu. Mgłą spowite siną  
W ciemności wieczoru wszystkie wyspy giną.  
Sny głębokie błędzą hen po morskiej fali.

Cisza śmierci wokół... Lecz spod wody słyszę  
Często głos, co mać nieobjętą ciszę,  
Słyszę straszne chóry pod wodą uspioną.

Budzą się cmentarze gdzieś pod wodą śpiące!  
Psalmy brzmią żalobne... A światła tysiące  
Wśród tej ciemnej nocy jak gromnice płoną.

2.

Wśród starych kasztanów księżyc świeci jasno.  
Noc jasna, widna, w błękicie się nurza...  
W twym ogrodzie każda już zasnęła róża,  
Nawet bluszcz na drzewie rozłożystym zasnął.

Wędrują obłoki błyskając z ochotą;  
W powietrzu ni głosu, ni dźwięku, ni zjawy,  
Tylko cyprys gwarzy, wokół zapach trawy;  
Noc swą szczerą dłońią sypie na nią złoto...

Ni żagla, ni mewy na morskiej równinie;  
Z fiołkowego nieba tylko spokój płynie —  
A sen, widzę, krąży nad szczytem mej biedy...

Lecz gdy słońce błysnie na drzewa i morze,  
Wówczas się obudzą, i wypełnią wtedy  
Niby czarne żmije na słoneczne łoża...

MILAN RAKIC

## Simonida

Wzrok ci wydarto, obrazku uroczy!  
Wieczorem kiedyś na kamiennej płycie,  
Bezpieczny w mroku o swe nędzne życie  
Albańczyk nożem wydłubał ci oczy!

Lecz się nie ważył dotknąć twego ciała,  
Ni lica twego, ani ust koralu,  
Ni królewskiego nie drasnął woalu,  
Pod któryś warkocz twój gęsty schowała...

Dziś na cerkiewnej, kamiennej kolumnie,  
Mozajki szatą odziana dostojnie,  
Swoją los okrutny znosząc tak spokojnie  
Spoglądasz na mnie smutno, ale dumnie.

I jak gwiazd zgastych już dawno tysiące  
Jeszcze swym światłem czasem zamigocą,  
I człowiek widzi późną, mroczną nocą  
Dalekie gwiazdy już nieistniejące.

Tak i na moje zadumane lice  
Z płyty spleśniałej jasne światło pada:  
To świecą, smutna Simonido blada,  
Twoje już dawno wydarte źrenice...

SVETISLAV STEFANOVIĆ

## Don Kichot

W bój siedleś zawsze bez ostroży głowy,  
By pokonywać wrogów urojonych,  
I miast olbrzymów zaciekle tropionych  
Zmógł cię pocieszny olbrzym groteskowy.

Mój ty szlachetny rycerzu z La Manchy,  
Wielkie twe bóle, szczęście twe niejasne!  
Lecz jedno dobro miałeś twoje własne:  
Ty byłeś panem twego Sancho Panchy.

Losuś nie zaznał rozsądku zdrowego,  
Ni jego klątwy, ni tyranii jego,  
Tylko uczciwej służby i wierności!

Takeś się przez to wslawił między nami,  
Że wieczna pogoń twa za wiatrakami  
Niemal historię oznacza ludzkości!

GJ. GLUMAC

## Lubie

Lubię w chłodnym leżeć cieniu  
pośród wiatrów błogich wiewu,  
Tonać w słodkim uniesieniu,  
wdzięcznych ptasząt słuchać śpiewu.

Na kielichach kwiatów płynę,  
a w kropelkach srebrnej rosy  
lśni pogodą moje oko;  
obłok biały na wyzynie  
szybkim wichrem mnie unosi  
i po świetle gna szeroko.

Gdy niepokój sen mój przerwie,  
uniesienie obłok toczy —  
Nie wiem, czy to rosa w trawie,  
czy się błyszczą moje oczy.

SIBE MILICZIĆ

## Gwieździsta noc

Kiedy dzieckiem byłem,  
w cichej zmierzchu godzinie,  
kiedy  
Wschód się wyiskrzył gwiazdami,  
a Zachód pierwszą zapalił  
gwiazdę wieczoru nowego;  
gdy zewsząd, z morskich przystani  
z ostrym szych wiosel skrzypieniem,  
rybackie płyną łodzie,  
na szczycie barki malej  
ja: dziecko, i mój ojciec, sami,  
czarowną żegnaliśmy przystań  
tonącą wciąż w oćmie wieczoru.

Dokoła barki naszej  
ognista błyszczała piana  
nikłych gwiazdeczek morza,  
niebo zaś skrzące gwiazdkami  
w ciemności zlało się z morzem,  
a ja, w dzieciennych marzeniach  
tonąłem śniąc bez przerwy:  
że nasza barka maleńka,  
że to jest  
jakiś ptak ogromny  
co pomiędzy gwiazdy leci,  
wysoko,  
od gór najwyższych wyżej.  
Okolo głuchej północy,  
gdy cały wszechświat płonie,  
gdy nieuchwytnym wiatrem  
kołyszą się szumiące bory;  
gdy wokół wysp niedalekich,  
przez rząd pływających perel,  
migocą rybackie światła;  
gdy, niby czarowne stado  
niebieskich jasných owiec,  
cicho, po szerokim niebie,  
gwiazd niezliczone mkną roje;  
w takt wiosel bijących o wodę,  
wśród krzyku gniewnych rybaków,  
wśród plusku stada delfinów,  
jak Piotr apostoł wierny,  
mój ojciec, z morskiej otchłani  
wyciągnął z trudem, powoli,  
gwiazdami  
po brzegi wypełnione sieci.

A ja, z maleńkiej barki  
patrzę na ten cud cudów:  
Ziemi, Nieba, Wszechświata,  
który trwać będzie wiecznie,  
i nigdy nie przemienie,  
ku morzu przeżyłem me dłonie,  
by je napełnić gwiazdami,  
i krzyk mój ginał, daleko,  
w tej najpiękniejszej nocy.  
I cały ten cud cudów,  
i to piękno przecudowne:  
Ziemi, Nieba, Wszechświata,  
przez moje dziecięce oczy,  
przez moje dziecięce uszy,  
do mojej przenikły duszy  
i w mojej zostały duszy.

I teraz,  
z tym cudem piękna w mym łonie  
idę i wszędzie przebywam,  
i wszędzie z pięknem tym żyję,  
a w porze gwieździstej nocy,  
ku niebu zwróciwszy lice,  
w górę wzniosłszy serce, oczy,  
upojony,  
Niebo podziwiam i Ziemię.

MARKO VRANJECZEVIĆ

## Pociągiem przez kraj redziny

Rzekłem Stolicy obojętne „Z Bogiem“,  
gdy gwizd pociągu targnął mną w rozterce.  
Sań jestem. Z tego, com wziął kiedyś z sobą,  
snów moich ziemi puste zwracam serce.

Dudni mój pociąg i znika Stolica,  
sny nieziszczone, złudy i zwątpienia;  
czuję się jakby rozbitkiem na morzu,  
co żagiel dojrzał barki — wybawienia.

Dudni mój pociąg, znikają doliny,  
tylko niekiedy zafalują lany,  
i znowu wzrok mój obojętny krąży  
wśród pól złoconych żytem zablakany.

Zamknąłem oczy widokiem znużone,  
i o niej marzę, tej jedynej mecie:  
Za małą chwilkę ukaże się ona,  
z ziem wszystkich ziemia najdroższa na świecie.

I oto nagle, cień olbrzymiej góry —  
i pieśń gdzieś słychać, brzmi piosnka żalonna.  
Patrzę wzruszony: tak, to właśnie ona,  
z ziem najpiękniejsza, ukochana Bośnia.

Na chwilę wzrok mój w mrok liści się nurza,  
lub w pole płynie ekstazą radosną.  
I krzyczą we mnie moje lata młode:  
— „Błogosławionaś ty wśród krain, Bośnio!“

Z okien kiwają rękoma dziwczęta  
i piosnka leci tej ziemi właściwa:  
„Hej, choćbyś błagał, nie wyjdę za ciebie,  
gdybyś mnie pojął, nie byłabym żywa“.

Tam przy dolinie chatki się skupiły,  
jak dziatki garnie do się matka droga,  
minaret jakiś wieża w niebo strzela  
niby modlitwa płynąca do Boga.

Czuję: tu w cieniu rodzinnej wyżyny  
ból się uciszy, serce błysnie wiosną,  
i śpiewać będę jak beztroskie dziecię:  
— „Błogosławionaś ty wśród krain Bośnio!“

Znikają z oczu ciemne górskie zręby.  
Fujarkę słychać: pasterz pędzi stada.  
Na wioski nasze i na serce moje  
noc zapomnienia cicho pada, pada.

N. MIRKOVIĆ

## Omdlenie

Dal mnie mroczny,  
Zgasły oczy —  
Siła i świat odchodzą.

Śmiech mnie przytłacza,  
Serce rozpacza —  
Uśmiechy we mgłę brodzą.

Tonę. Ciemności.  
W smutku, samotności  
wiatry za nimi mnie wodzą.

DESANKA MAKSIMOVIĆ

## W moim kraju

W moim kraju, gdzie rośnie  
dzika róża i tarnina,  
gdzie na górach wielkie lasy rosą,  
gdzie jaskółki mkną radośnie,  
gdzie śliw wiele, wiele wina,  
gdzie jastrząb krąży ponad sosną.

Wieśniak tam za dnia nie spoczywa,  
na nogach czeka na jasną zorzę,  
w świętą się tylko bawi niedzielę;  
bez maszyny jeszcze żniwa,  
bez maszyny jeszcze żniwa,  
pracy ręcznej tam wiele.

Chłop w mym kraju jeszcze wierzy,  
chleb przeżegna, nim ukroi.  
Lud fasolą żyje — soczewicą,  
strzegąc dawnych postów swoich.  
Jeszcze chłop swą zgrubiałą prawicą  
widelec z trudem dzierży.

Nie każdy pisać tam się stara,  
bajki zaś opowiadają  
wszyscy, chętnie przyśpiewują.  
Wszyscy gładki język mają,  
wszyscy ci sylabizują  
z niebieskiego złotego bukvara.



ALEKSANDER OLKIEWICZ

## P O W R Ó T

(WYJĄTKI Z NOWELI)

...Obilizacja i wojna — wojna i obilizacja...

Niby naprzykrzone muchy brzęczą te słowa nieustannie i osiadają głowę. Walkowej z rąk wszystko leci. Niby się to zbiera do roboty, żeby Walkowi pokazać — że nie... że no!.. że trudno... — ale wszystko na nic. Ma ciągle przed oczyma jego straszną markotność, że ano musi ją ostawić a same-mum iść. Żal okrutny, rozpacz nieutulona luzują się ciągle ze sobą. Walka zabierają — chłopca rodzzonego... Na tułaczkę... na pioniewienkę, albo i co gorsze... Ostatnie sama — sama, jak ten kołek w płocie... Do tego dzieci... Da ta sobie radę?... Sama — no!... Zresztą — nie to!... Niechby kulasy se pou-rabiała — niechby padała ze znużenia — wszystko!... Ale z nim — ale z Walkiem!...

Kilka już lat jak się pobrali... Józek — najstarszy na świętego Jana piąty ledwie zaczął... Niejedno przeżyli... niejedno przecierpieli... Równie... spokojne było ich kochanie... Buzowała się zrazu warem krew w żyłach... Ale największy ogień, gdy cug nie dochodzi — przygasa, ale dźwięk raz po raz dorzucić, tlić się może całe lata... Tak też się to kochanie tliło... Tliło się i tliło, bo ano czasu na więcej nie stawało... To pierwsze czasy na swoim trza dobrze harować... Dopiero teraz — kiedy na czatach u proga stanęła rozłóżka — strzeliło nagle ognistym słupem...

Obilizacja i wojna!...

Bierze się za bary z tymi słowami — przetrawia, przeżuwa je myślą — wywraca na reby, by się w nich czegoś domacać...

Nic i nic!... Tylko żalność coraz większa zbiera w duszy... Tylko ból coraz ostrzej rżnie serce i w piersiach dławia a dławia... W skrytości przed czymś różne rzeczy obmyśla, jakby go nie dać... Sto naraz pomysłów... Siakie takie. — Siakie i takie — ale nie to... Najprościej — weźmie i schowa... Ba — ale jak?... ale gdzie?... Ukryje się to co przed ludzkimi ślepiami?... zresztą mogą przyjąć sami i szukać... Znajdą — jak nie znajdą!... Igła to, czy co... Chłop, kiej dąb, że ano drugiego takiego nie znajdzie chyba w bliskości... Najlepiej — pójdzie do naczelnika... nie!... — do pułkownika, albo i generała... Właśnie — pójdzie!... Powie tak i tak... tak i tak... Dzieciska małe... Józek ma na piąty — Stacha na czwarty — Franek ledwie zaczyna chodzić — a Ceśka jeszcze przy dytku... Przecież trza dać temu jeć... A najlepiej — prosto szczerą — najszczerzą prawdą, że jak co — to chyba jej serce pęknie...

Do Walka — do chłopca swojego najukochańszego w te pędy:

Waluś...  
Co, Marcycha...  
A to nie pójdiesz...  
No?...?

Bez ładu i składu... przedko — przedziutko i piąte przez dziesiąte — jednym tchem: co i jak myśli... Wzięta się skądciś wiara, że wszystko dobrze...  
— Zobacysz!...

Walek uczeplił się tego... Kto ta wi!?... Medytował... medytował... To tak — to owak... Ani weź — nie chyci!... Bo — jakże?... Bo — skądże?...  
Bajdurzysz!.. mruknął, zły czegoś na siebie.

Bajdurzę?...  
A ino!... ostro... twardo przypieczętował, jakby na nią kto kubłem zimnej wody chlusał... Jakby ją kto przez łeb pięścią zdzielił... Niby ostry nóż — wierzgnęło się jasno poznanie...  
Pewnie, że bajdurzy... Nie puszcza — wiadomo! Przyjdą — zabiorą... Czy tak — czy tak — iść musi!...

A — nie!... Nie — musi!... Nie da i kwita!... Żeby nie wiedzieć co — nie da!... Jak suka rzuci się i będzie gryźć... Wszystkich — wszystkich... czy on generał — czy on naczelnik... Niech zbiją — niech skopią — nich stratują, a — nie da!... Nie da i już!...  
Głuchy bunt krzepnie w tym postawieniu i ulgę niejakką przynosi.

\* \* \*

...Lecz nowy ranek twardy, kamienny mus przynosi...

Czy chcesz czy nie chcesz — wsio równo: iść musisz!...

Czymu, Waluś, czemu?...

Bo mus!... Bo każą!...

Kto?... Kto?...

Cholera ich ta wi — kto?... Sotkysowi — wójt... wójtowi — naczelnik... naczelnikowi — ktoś tam...

...Ktoś tam...

Takie to-to Walka jej zabiera... Ani tego dojrzyć — ani tego dotknąć... Wynaleźć — do oczu skoczyć... Nic nie uradzi... nic nie pomoże... Choć zaciskają się same pięści — choć gniew z oczu bucha — choć tyle czuje w sobie siły, że ano letko dziesięciu chłopom dałaby rady...

Walek przynagła, żeby prędzej — bo już czas! Widzi, jak ukradkiem dzieciaki bierze na kolana i całuje... To Józka... to Stachę, to Ceśkę... Łzy mu fort ciekna i ciekna... Niby udaje, że to ze śmiechu. Ale jej nie oszukła — oho!... Każda ta jego iza — niby kropka roztopionego ołowu — bęc! bęc! w samo serce i — pali!.. i — trawi!...  
Marcychna...

Co, Waluś, co?...

Pilnuj mi tu aby wszystkiego — pamiętaj sobie... Pilnuj dzieciaków — radź sobie, jak możesz... Najmi pókico, toć niedhugo wróć... A — jeszcze... Słyszysz. — Jakbyś tak... co... — niech cię ręka boska broni!... Słyszysz?...

Walkowa nie — ino się ze wszystkich sił tuli do niego. Oplotła mu szyję ramion uściskiem — do ust nienasyconym przywarła całunkiem — całym przylgnęła ciałem, aż warem krew buchnęła...

Marcychna...

Waluś...

Ledwie tchu złapać mogą...

Nieublagany zakochał we drzwi mus! W jednej, jedynej chwili zgłębia sens wszystkiego. Całą groźbę — wszystko zło... Twardy, kamienny, potworny mus!...

No, ostają z Bogiem dzieciaki!... zaparło mu słowa w gardle i w szloch dopowiedział resztę.

Waluś... Waluś...

Zamiosła się żalnym łkaniem...

Dzieciaki w płacz i lament za nią...

A Walek próg chaty przestępował w tę porę...

\* \* \*

Jak mogła tak sobie radzić. żalność okrutna nie odstępowała jej ani na krok, jeno jak ten cień włókła się za nią — za każdym jej westchnieniem — za każdą jej myślą i każdym spojrzaniem. Tęsknota zaprawiona troską serdeczną, żeby coś złego mu się nie stało, wypełniała po wręby pustkę długich dni. Po całych dniach wyglądała, czy aby nie widać stójki z listem. Przeszedł jeden tydzień i drugi jak z bicia trzask, złeciał miesiąc, a tu żadnej od Walka wiadomości.

Jeno te słuchy — jeno te gadki okropne, że ano strach ścinał krew w żyłach i debem jeżył włosy. Brały się ome skądciś całymi chmurami i rozwioły po całej okolicy. Czy stary, czy młody — każdy ciekawie im ucha nadstawiał i rad je dalej podawał...

Ten trochę ujął — inny znów dołożył, albo przekreślił cudacznie i sły wciąż nowe i wciąż jedne i te same wieści w świat — w ludzi!...

Miała w uszach ciągle, potworny huk opowiadanych bitew, a przed oczyma majaczyły jej wieczne stosy trupów. Zrazu myślała, że wśród zabitych musi być i Walek, skoro żadnego znaku nie daje... Ale było to sobie tylko takie myślenie bez sensu i ładu... Przyplątało się niewiedzieć skąd i — odeszło... Samo odeszło... Wiara nieugięta, że Walek wróci — cały i zdrów — rozpostarła się w niej szeroko i szczerze.

Jak i dlaczego — nie umiałyby odpowiedzieć!

Ot przyszła sama... Czwała tylko, że tą wiarą przesiąkła cała, że tai się ona w każdej kropki krwi i w każdej kosteczce ciała... Nie mogły tej wiary ani na jotę naruszyć najokropniejsze nawet wieści... Inne kobiety lamentowały po całych dniach — za swoich msze święte zakupywały — przy leda okazji o żołdatkach i wojnie wspominały, Walkowa — nie!... Wszystko — wszystkiuteńko chowała w sobie...

Tyle — co z dziećmiakami sobie ulgę dawała. Weczenie się pytały: gdzie i gdzie ta

ta?... A już Józek najstarszy najwięcej... Co to niby ta wojna i czy strzelają?... I czy wielki huk i czy kulki latają?...

Tak żyła i wyczekiwała wieści.

Z dniem każdym to jej do Walka na nowo rozbudzone kochanie, było tak przegromne, że blakło przy nim wszystko.

Czyste, jak iza kochanie...

\* \* \*

...Najukochańsza moja Marcychno! W pierwszych słowach mego listu: niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Spodziewam się, że mi odpowiesz: na wieki wieków — amen. Tyle już pisałem...

Dalej — ani rusz!...

Niepójeta tklivość rozpięra serce i gorące lzy do oczu napędza, że ano nie może dalej czytać. Ten kawałek to już prawie na pamięć umie...

...Najukochańsza moja Marcychno...

Jak żywy — stoi przed oczyma Walek. Przez lzy lepiej go widać. Daleko — ale widać...

Powolu — powolutku... Słowo za słowem... litera za literą... — od nowa sylabizuje i w gąszcz słów listu wnika. Każde słowo — słoweczko ból koi i troskę. Przy niektórych staje — po dziesięć razy je sobie przepowiada... A już na te ciągle zawraca: „Godają tutaj, że wojna wnetki się już skończy... Ino patrzeć — ja!k nos puszcza... chyba niedługo wróć...“

...Niedługo wróć...

Przepowiada sobie w kółko i wygląda niechętny, czy aby gdzie Walka już nie widać...

Aż go się doczekała na swoje szczęście-nieszczęście, choć końca wojny jeszcze nie było widać:

Wiosna na dobre już rozgościła się była w tych stronach. Roboty było w polu coniemiarą. Od rana do samego wieczora uwiązła się w kółko, żeby aby wydażyć — wszystko na czas zasiał i zasadzić. Gdy się położyła — nie czuła ani rąk, ani nóg. A co najważniejsza — nie miała czasu o Walku przemyśliwać. Od tamtego listu — nie dawał żadnego znaku. Opędała się od złych myśli — że listy giną. Wiadomo — wojna!... Nie tylko takie rzeczy przepadają bez śladu... Zresztą — dziej się wola Twoja, Panie!... Wszystko w Twojej mocy... W skrytości serca obiecywała solennie, że jak Walek wróci — ...Bóg jeden wie, czego nie obiecywała... A przez wszystko przewijała się nic, czy aby jeszcze żyje?...

...Z robotami już się prawie uwinęła. Przy niedzieli wyszła sobie w pole — jak też wszystko idzie. Miała więcej czasu — tedy znów obciady ją złe, kaśliwe myśli, że im się opędzić ani sposob. Rozdygotana cała, że mało wiała co, bilaby lub płakała. Jakiś niepokój ją ogarnął, jakby leda chwila miało się coś stać. Miejsca sobie znaleźć nie mogła. To zwolniła kroku — to znów prawie biegła, już to jakby na spotkanie, już to jakby uciekała... Nawet nie wiedziała, kiedy zeszała z miedzy i prosto przez zasiewy szła dokądś. Na górcie pod gmuszką usiadła. Patrzała, nie widzący, na rozpostartą w kotlinie wieś. Patrzała — długo... Patrzała — szeroko... „Najukochańsza Marcychno“... — nawinęła się nieproszona myśl i Walkowa strasznym rozszlochała się płaczem. Rozluźniło się w niej od tego płaczu wszystko, że nawet sił nie miała, by się z miejsca ruszyć. Dopiero ten słup pyłu na drodze... Zrazu mały obłok — potem coraz większy... coraz większy... Mało jej serce nie wyskoczyło z piersi... Jak się przekonała, że do jej chałupy zajechała — w dyrdy!... co tchu — naprzelał — przez zasiewy i — na oslep!... na oslep!...

Widziała z daleka, jak zaroilo się naraz we wsi, a wszyscy do jej chałupy... Mały — duży...

...Jezus, Maria!... Jezus, Maria!... Żeby aby prędzej — żeby aby...

Zziąjana wpadła na podwórko. Rejwach — krzyk — wołania... Rozstąpili się przed nią...

Pod ścianą na ławce — kikut bez nóg, pobok — krokwie... Jakby wrosła w ziemię... Ani w tą, ani w tamtą stronę... Jakaś myśl podważa coś ciężkiego... Jak ostro załamana kość w żywe ciało — wpiła się myśl straszna:

...Dyć to Walek...

— Bez nóg!... Bez kulasów!... — waliło jej w głowie, czy po głowie: Raz — raz!... Raz — raz!...

Krwią jej nabiegły oczy... Płomień szaleństwa objął myśl... Okrutnym ugodziła

JOANNA MODRZEJEWSKA

## NASTRÓJ

Seledynowa lampa pod złotym abażurem,  
List jeszcze nie otwarty pachnący oddalą,  
Księżyc sączący srebro w marzenia

purpurę —

Płynę z nieznaną falą...

Melancholia na rzesach rozperlona łzami,  
Tęsknota roztopiona w błękitną ciszę,  
Wieczornej czerni puszysty aksamit —  
Fala mię kołysz.

Serce o pierś bijące krwi gorącej młotem.  
Pod powieką barw tęcza drży świetlistym  
śladem: —

Szkarlatem, seledynem, srebrem, czernią,  
złotem —  
W bezdeń zapadam.

MAREK ADAM JAWORSKI

## HISTORIA

Szyto grubymi niemi dni  
o kolorze czerwonym krwi.  
Lata cementowały miliony  
rozstrzelanych, zabitych, umęczonych.  
Dziś przewracam w pamięci  
karty ostatniej historii.  
Nie ma jej w szkolnych podręcznikach.  
Jest w nas...  
Patrzy z oczu tej matki w żałobie:  
na froncie w randze porucznika  
syn... łzami spłynął po twarzy  
i w modlitwie przylgnął do stóp  
Zbawiciela.

Spogląda z ruin kamienic,  
na których rdzawe krwi ślady  
po ostatniej salwie...  
„Rozstrzelano trzydziestu“.  
ryczał megafon i ciał po sercach  
jak biczem — wczoraj...  
Dziś przewracam w pamięci  
karty ostatniej historii  
i palce mam mokre od krwi...

TERESA BARZAŃSKA

## POWIEDZ

Powiedz, czy żyjesz, czy umarłeś?...  
Znak mi daj jakiś choć z za świata.  
Powiedz, czy śmierci się wydarłeś,  
Co cię gonila całe lata?..

A mozesz z pruskiej zginął ręk...  
Może Oświęcim, lub Majdanek  
Były świadkami twojej męki...  
Odpowiedz, gdzie ty mój kochanek!..

Może kalectwem tyś dotknięty  
I milczysz, bo ci brak odwagi —  
O nie bój się, bo raz zatknięty  
Miłości sztandar, wielkiej wagi.

Prócz śmierci dla mnie nie  
nie znaczy —  
I oprócz zdrady — ta piętnuje.  
Lecz nawet zdradę ci wybacz  
Serce, gdy wrócisz, bo miłuje. —  
V. 1946.

wszystkim wzrokiem, aż mroz po krzyżach przeszedł...

Ze ściśniętego gardła wyrzuciła krwawy krzyk i groźna — z zacisniętymi, drapieżnymi pięściami skradła się do niego...

Prawie przed nim zatrzymała się na jedną — jedyną chwilę. Pijanym skomlała wzrokiem — że to nie Walek... że to nie on...

Naraz zebrała się wszystka w sobie — skoczyła jak kot i — do gardła mu!... do gardła...

Wont!... wont!... — ochryplym charczała głosem. — Ty nie Walek!... — Ty nie Walek!... Wont!... wont!...

Chwyliła krokiew i gdzie popadła — biła... biła...

Rozpierzchli się zrazu wszyscy przerażeni...

Dopiero później skoczyli mu na pomoc...  
Ledwo ją mogli związać... Wciąż warczała ochryple przez zacisnięte zęby:

Wont!... wont mi tu! wont!  
Kobiety zajęły się Walkiem bez nóg...

Aleksander Olkiewicz.



## Amicus criticus, sed magis amicus criticismus

(Dokończenie ze strony 3-ej).

Zaczekajmy, droga Pani, być może za lat kilka biolodzy i chemicy posuną się tak daleko, że będzie Pani mogła równie łatwo rozpoznać w jakimś syntetycznie stworzonym żywym braku, inny przejaw łązania Słowa! A wtedy to, co było tajemnicze, jak wiersze Pisma Świętego, stanie się nagłe proste i zrozumiałe jak Logos po odkryciu Rutherforda.

Szanowna Dysputantka powołuje się na Newtona, by pokazać do jakich wielkich odkryć prowadzi uwielbienie dla Stwórcy. — Ale czy prawdziwość następstwa świadczy o prawdziwości racji? Kepler wierzył, że duchy poruszają planety i postanowił zbadać drogi tak poruszanych planet. Czy p. Pliszczyńska wierzy, że skoro prawa Keplera są prawdziwe, to również prawdziwa jest, że duchy wprawiają w ruch planety?

### ODWIECZNA TAJEMNICA

Szanowna Dysputantka sądzi, że nie jest sprzeczne z nauką twierdzenie, iż pewne zjawiska są irracjonalne, a nawet superracjonalne. A ja sądzę, że jest sprzeczne, ponieważ zasadniczym **postulatem** naukowym jest **poznawalność** świata. Czy można sobie wyobrazić uczonego, któryby powiedział: — Z badania tego zjawiska zrezygnuję, ponieważ ono jest niepoznawalne. Wyłączam to zjawisko z dziedziny nauki. — Tak chciano czyścić z misteriami starożytnego Wschodu, tak chciano postąpić z religiami całego świata, ze snami proroczymi, z cudami, wreszcie z tzw. zjawiskami kryptopsychicznymi — i cóż? Istnieje naukowe religioznawstwo, istnieje psychologia sugestii i autosugestii, istnieje psychiatria i psychoanaliza, neurologia i filozofia medycyny... Wszędzie, gdzie przed tym było „tabu”, wdarła się śmiała pozytywna myśl ludzka i kontynuuje swój triumfalny promienny pochód poprzez ciemności zabobonów, urożeń i hipostaz. Wnikliwy, krytyczny umysł człowieka każe mu **podawać w wątpliwość i badać absolutnie wszystko**, co narzuca mu doświadczenie zewnętrzne i wewnętrzne.

A jeżeli jakieś zjawisko wydaje się tajemnicze, niezrozumiałe, dziwne — tym więcej krytycznej uwagi skupić należy na takim zjawisku, tym usilniej i bezkompromisowiej je badać.

Poznawalność świata nie stanowi dla nas problemu, bo nie jest własnością metafizyczną, której mamy poszukiwać. Poznawalność świata jest naszym **nieodzownym postulatem metodologicznym**, bez którego nie moglibyśmy budować nauki, który więc musimy przyjąć jako zasadę naszego postępowania naukowego wobec **wszelkiego** zjawiska. Oczywiście niejedno zjawisko możemy nazwać „dziwnym” i tajemniczym.

Ale tym wyrażeniem, obrazującym naszą postawę **emocjonalną** nie należy nadawać znaczenia metafizycznego! Jeżeli możemy w sposób dostatecznie uzasadniony powiedzieć, że „świat jest dziwny” (tak nawet sam zatytułowałem artykuł, który ukaże się w najbliższych dniach w „Problemach”), to nie w tym sensie, żeby świat był irracjonalny, wobec czego wara od zgłębiania go i badania, lecz tylko w tym sensie, że daje nam **bezgraniczne** pole do badań właśnie racjonalnych. Dla dzikusa karabin, patefon, samolot są „obcymi bogami”, czymś irracjonalnym (nawet „superracjonalnym”, jak chce szanowna Dysputantka). Dla człowieka cywilizowanego są to mechanizmy powstałe przez działanie racjonalne i przez dalszą racjonalizację dające się doskonalić.

Nauka, powstała na mocy zastosowania „rozumu” (zapożyczymy ten skrót z wadliwej „psychologii władz”), nie ogranicza **absolutnie** niczym zakresu jego użycia. To nie znaczy jednak, że **uczucie i wyobraźnia** mają być poddane banicji z życia człowieka. Przeciwnie, one dają życiu ludzkiemu wartości najwyższe, radości najwznioślejsze i najgłębsze. Ale rozum, który ma prawo kontroli i wszystkiego na świecie, który żąda od nas **krytycznego** pojrzenia na **wszystkie, bez wyjątku** sprawy naszego życia, ujawnia nam, że nawet w najwyższej ekstazie, nawet w

ZDZISŁAW PAPIERKOWSKI

# KRYMINALISTA

Jedną z cech charakteryzujących wzajemne stosunki ludzkie są nieporozumienia. Wśród wielu przyczyn tego psychologicznego zjawiska częstym jego źródłem jest niedokładna i bezkrytyczna recepcja cudzej myśli, wyrażonej słowem lub pismem. Gdyby się na tym skończyło, byłoby to jeszcze pół biedy. Ten jednak, kto ową myśl, względnie sentencję przejął, puszcza ją dalej, zabarwiając ją własną, na wadliwych podstawach opartą, interpretacją. I tu właśnie otwiera się pole dla najrozmaitszych cudów świata. Do tego rodzaju nieporozumień należy np. częste wmawianie autorom dzieła naukowego, względnie utworu literackiego, pewnych, obcych im intencji, przy czym dzieje się to na podstawie dowolnie wybranych i nienależycie zrozumianych kilku słów, względnie zdań, które wcale nie stanowią istotnych i charakterystycznych cech rozważanego problemu, względnie opisywanego zjawiska (wykluczam oczywiście z dyskusji umyślne zniekształcenie cudzej myśli, gdyż to nie jest nieporozumieniem, lecz zwyczajnym nadużyciem).

Tutaj też należy zaliczyć nieporozumienie, na jakim opiera się tak często powtarzane powiedzenie: de mortuis nil nisi bene (o zmarłych należy mówić tylko dobrze). Przypuszczalnie jakiś mówca pogrzebowy w starożytnym Rzymie, żegna-

najpotężniejszym porywie naszego wzruszenia, nawet w najgenialniejszym wlocie naszej wyobraźni i myśli abstrakcyjnej — **nie opuszczamy sfery naszego doświadczenia**, i wszystkie rzekomo „transcendentne” przedmioty naszych wzruszeń religijnych czy metafizycznych, estetycznych, czy intelektualnych — pozostają na zawsze tylko rzutowanymi w urojoną przestrzeń własnymi wytworami fantazji. — Mimo to tęczo zabarwiają życie, pogłębiając je i uwznioślając, a oczyszczone przez krytykę rozumu nadają życiu człowieka immanentny sens i samoistną wartość.

Przestańmy się ludzić. Bezsensowne jest wszelkie rozprawianie na temat „być w sobie” nieznanym i niepoznawalnym. Możemy myśleć i działać tylko w obrębie naszego doświadczenia, ale dostatecznie szerokiego, żeby objąć wszechświat cały. Poznając, przeżywając, działając, rozszerzamy bezgranicznie nasze doświadczenie, lecz nigdy — nawet w myśli — nie wykraczamy poza nie. Wszelka myśl o „byciu w sobie” jest urojeniem.

Na zakończenie chciałbym podziękować p. J. Pliszczyńskiej za danie mi sposobności rozwinięcia raz jeszcze niektórych myśli oraz za zaszczytne i miłe dla mnie zaliczenie mnie do grona swych przyjaciół („amicus Plato”). Otóż właśnie jako przyjaciół ostrzegam ją przed fałszywą przyjaciółką: „amica veritas” jest „falsa amica”.

Nareyz Lubnieki

jąc nad grobem dwu, a może więcej równocześnie chowanych zmarłych, wyraził się, iż ze względu na ich życie, zasług itd., nie da się o nich powiedzieć inaczej jak tylko dobrze. Ukuto z tego slogan, że o każdym zmarłym, od początku do końca świata, należy wyrażać się dobrze i im kto mniej rozumie łacinę, tym chętniej i częściej posługuje się tymi kilkoma słowami uważając, że oddał hołd kultowi abstrakcyjnego zmarłego. A przecież to jest oczywistą nieprawdą, że o każdym zmarłym należy wyrażać się dodatnio; uczy nas tego historia, a ostatnie lata zadają temu komunałowi jak najjaskrawszy kłam. Gdyby bowiem tak istotnie należało postępować, musielibyśmy uważać za ludzi uczciwych i wartościowych takie zdegenerowane indywidua jak Hitler i setki, a nawet tysiące innych, nieżyjących już niemieckich zbrodniarzy wojennych.

Innego rodzaju (tylko formalnie innego, gdyż podłoże psychologiczne jest to samo) nieporozumieniem jest tworzenie i używanie pojęć, zwłaszcza, jeżeli chodzi o terminologię, mającą nie polskie brzmienie. Jednym z takich pojęć jest „kryminalista” i o nim właśnie chcę napisać kilka słów. Kryminalistą nazywa się powszechnie osobnika, który popełnił przestępstwo, względnie kilka przestępstw i w związku z tym odbywa, względnie odbył karę pozbawienia wolności w zakładzie karnym (w więzieniu). Ci, którzy używają tego wyrażenia w tym właśnie znaczeniu, wiedzą prawdopodobnie (sądzę, że większość nie wie i postępuje całkiem nieświadomie), iż jest to słowo złożone z dwu części, t. zn. ze źródłostowu, pochodzącego od łacińskiego rzeczownika: „crimen”, (przestępstwo), oraz sufiksu, czyli przyrostka: „ista”, jakiegoś obcego pochodzenia, ale brzmiącego tak samo jak wiele polskich słów, a zatem nie ma chyba potrzeby specjalnie się nad tym zastanawiać.

Otóż źródłostów rzeczownika „kryminalista” istotnie pochodzi od łacińskiego *crimen* i na razie jest wszystko w porządku. Chodzi tylko o ten przyrostek „ista”. Przyrostek ten jest częścią składową wielu polskich, a właściwie ściśle mówiąc, spolszczonych wyrażen; wystarczy wymienić takie jak: specjalista, cywilista, internista, okulista, dentysta, procesualista itd. Ten przyrostek „ista” jest pochodzenia greckiego, mianowicie jest to jedna z form (druga osoba liczby mnogiej trybu oznajmującego: iste) czasownika „oida”, znaczącego: wiem, rozumiem się, znam się na czymś itp. Za pośrednictwem języka łacińskiego, a bezpośrednio przez język włoski, francuski i niemiecki do stała się ta forma do języka polskiego, gdzie uplasowała się jako sufiks (przyrostek) szeregu wyrazów (przeważnie również nie polskich, lecz pochodzenia obcego) nadając im znaczenie pojęć wyrażających znajomość pewnego stanu rzeczy. Tak więc specjalista jest to osoba, znająca się na pewnej specjalności. Cywilista

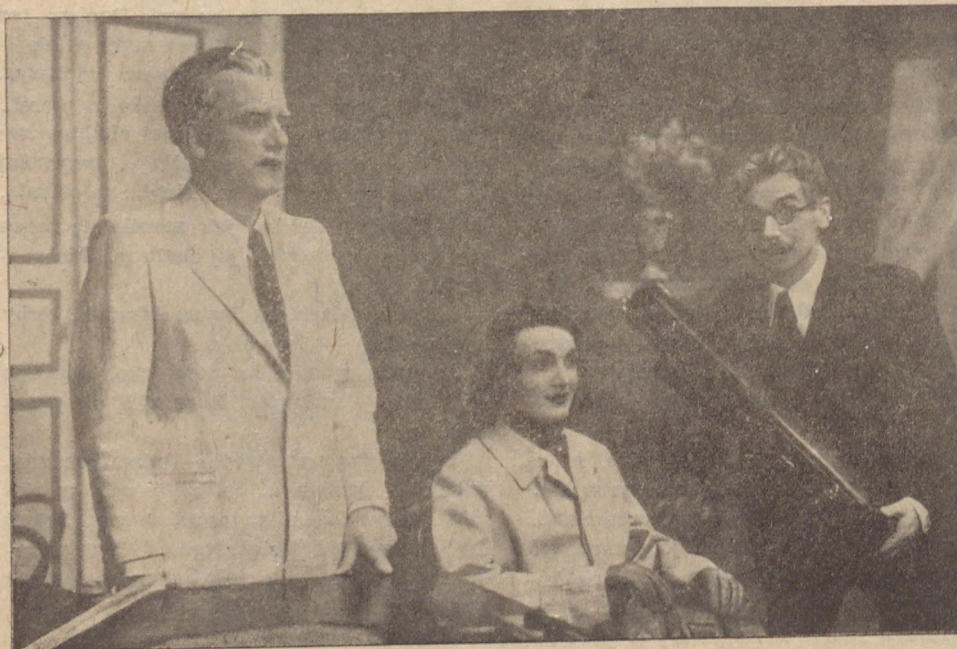
jest prawnik, zajmujący się prawem cywilnym i znający się na tym prawie, a nie ten, kto popada w konflikt z prawem cywilnym (np. dłużnik, czy inny kontrahent). Internistą nie jest osoba chora np. na przerost wątroby, lecz lekarz umiejący leczyć z chorób wewnętrznych; okulista jest lekarz znający się na chorobach oczu, a nie osoba chora na oczy, a dentystą nie jest przecież człowiek cierpiący na ból zębów, czy też wybierający komuś zęby np. w bóje, lecz lekarz rozumiejący się na chorobach zębów. Wreszcie procesualista to nie pieniacz procesowy, który z byle powodu pozywa ludzi do sądu, lecz prawnik, rozumiejący się na zagadnieniach procesu sądowego i znający prawo, które ten proces reguluje. A więc tak samo kryminalista to nie przestępca i mieszkaniowiec celi więziennej, lecz prawnik, zajmujący się zjawiskiem przestępczości i znający prawo karne (prawo kryminalne). Jeżeli przestępca jest zarazem znawcą prawa karnego, może uchodzić za kryminalistę, ale nie jako przestępca, lecz jako znawca tego prawa.

Przypuszczam, że nienależyte pojmowanie wyrazu „kryminalista”, pojmowanie inne aniżeli wyrazów: cywilista, internista itd., które nie budzą żadnej wątpliwości, posiada swoje uzasadnienie w istnieniu pojęcia naukowego „kryminolog”, oraz pojęć żargonowych „karnik”, wzgl. „karnista”. Otóż kryminolog nie jest pojęciem identycznym z kryminalistą. Kryminolog jest to pojęcie o wiele węższe, oznaczające badacza przyczyn przestępczości w rozumieniu jak gdyby historii naturalnej tego zjawiska. Kryminolog może wprawdzie być zarazem prawnikiem znającym prawo karne, ale nim być nie musi i po największej części nim nie jest. Kryminologami są przeważnie przyrodnicy (lekarze, antropolodzy, a nawet chemicy) i socjologowie, ustalający każdy na swój sposób etiologię kryminalną, czyli źródło przestępczości. O ile zaś chodzi o wyrazy „karnik”, czy „karnista”, są to śmieszne i brzydkie twory językowe, wymyślone jak gdyby dla ratowania sytuacji, tj. dla stworzenia na terenie prawa karnego odpowiednika pojęcia cywilisty, gdyż wyczuwano potrzebę tego rodzaju odpowiednika, a obawiano się widzieć go w pojęciu kryminalisty. Przypuszczam również, że tytułem do mianacji przestępcy na kryminalistę jest fakt, iż więzienie, w którym odbywa on karę, nazywa się często kryminatnem (wyraz raczej trywialny, niż literacki). Jeżeli tak jest istotnie, proponuję dla przestępcy mającego kontakt z więzieniem, czyli kryminatnem nazwę: „kryminatnik”, która nie jest może bardzo elegancka, ale przynajmniej nie gwałci żadnego innego pojęcia.

W związku z omawianym zagadnieniem nasuwa się jeszcze jedna uwaga. Mianowicie często dla przeciwstawienia pojęciu przestępcy, względnie przestępstwa politycznego, używa się wyrazu przestępca, względnie przestępstwo kryminalne. Znowu wielkie nieporozumienie. Wszak wyraz przestępstwo, względnie przestępca kryminalny, jest pojęciem tautologicznym i znaczy: przestępstwo przestępne, względnie przestępca przestępny. Oczywiście, a przy tym żędny nonsens, gdyż dla przeciwstawienia przestępstwu, względnie przestępcy politycznemu można używać pojęcia przestępstwa, względnie przestępcy pospolitego. Wtedy i znaczenie będzie zachowane i logika oraz poprawność języka będą uratowane.

Jako syntezę tych kilku uwag można ustalić zasadę, że nie należy używać wyrazu „kryminalista” na oznaczenie przestępcy, że natomiast można bez zażenowania, względnie innych oporów psychicznych, używać tego wyrazu na oznaczenie prawnika, zajmującego się prawem karnym i znającego się na tym prawie, bez względu na to, czy będzie nim teoretyk-naukowiec, czy praktyk-sędzia, prokurator, względnie adwokat.

Dr Zdzisław Papierkowski  
profesor prawa karnego,  
czyli kryminalista.



„Szczeniaki” R. Ferdinanda w Teatrze Miejskim w Lublinie  
J. Klejer, I. Paławska, J. Kondrat

[Do artykułu na str. 8-9]



## Ziemia miodem płynąca

## Nr 28.932 mówi...



Michał Rusinek. „Ziemia miodem płynąca“ Wyd. B. Kuthana W-wa (wznowienie).

Nowa książka Rusinka mimo, że stanowi odrębny, konstruktywnie zamknięty w sobie i wykończoną całość jest ideowym przedłużeniem dzieł „Plutonu z dzikiej łąki.”

Grupę młodych przyjaciół łączy teraz autor klubem „Błędnej latarni”, lecz napór rozbieżności życiowych — odmalowanych z sugestywnym w swej prostocie realizmem — ściera nieustannie tę kruchą więź.

Wspólna ich młodość nie wiodła do wspólnej starości. Nad losami bohaterów bowiem zaciążyła — wyłaniająca się z poza ich postaci w wyrazistych zarysach rzeczywistości — atmosfera okresu międzywojennego.

Schyłek młodości najbardziej charakterystycznej i pierwszoplanowej postaci Ignacego Nawrockiego (niegdyś po prostu Nawrota — syna węglarza i praczki) — karierowicza i biurokraty, przepojonego małomieszkańskim sobokostwem — jest gorzką refleksją nad minionym życiem.

I w jego smutnych rozważaniach pulsuje główny nurt ideowy książki.

„Oskarżam życie moje — pisze Nawrot w swym pamiętniku — że jest puste i głupie, zimne i bezduszne, wyrachowane na pensję, fotele, zaszczyty i awanse”.

Przez usta Nawrota oskarża autor wiele podobnych egzystencji — zasklepionych w swym wygodnym, dostatnym, niewzruszenie obojętnym bytowaniu.

I ukazuje chwilę, gdy Nawrot przemierzywszy szmat życia pewnym i lekkim krokiem, nie oglądając się na innych — staje nagle nad zięjącym pustką i nicnością urwiskiem samotności. Pamięć jego wywołuje z przenikliwą jasnością tych wszystkich, których miał — „braci włóczęgów” — często bosych, głodnych i poniżonych w swym człowieczeństwie. Na próżno szukałby ich teraz wśród pustyni życia.

W jego porywie tęsknoty za entuzjazmem i wzruszeniami wczesnej młodości, brzmi wołanie autora o gorąco czujące serce. I by w tej „krajnie miodem płynącej”, którą zwie tak z gorzka i bolesną ironią — dla wszystkich znalazło się wspólne miejsce.

Joanna Modrzejewska

Leży na moim stoliku publikacja pt. „Oranienburg”, teka z planszami i objaśnieniami do nich, przesłana mi z okazji Tygodnia Solidarności Międzynarodowej b. więźnia politycznego (od 23 do 30 marca).

Na karcie tytułowej wynędniała twarz o ostrzyżonej przy skórze czaszce, z rysami ściągniętymi cierpieniem, z cienkimi pośłonkami mięśni, widocznym pod ziemistą skórą... Standaryzowana twarz więźnia przeznaczonego na zniszczenie w jednym z niemieckich obozów koncentracyjnych, jakkolwiek była ich nazwa: Dachau, Auschwitz, Mauthausen, Majdanek, Oranienburg...

Pierwszym wrażeniem: szczute zwierzę... Ale nie, z twarzy tej bowiem śmiertelnie smutnymi oczami wзира mocną wolą przetrwania — CZŁOWIEK. Ta postać w pasiakach — to on, Stefan Horski, autor.

Należy do tych silnych duchem, którzy zdołali przeżyć każdą niemiecką niezłamaną i do tych nielicznych a wybranych, którzy z racji swojego powołania uważali za obowiązek przekazać innym to, co przeżyli i widzieli. Horski chwycił za pędzel i utrwałał na świstkach papieru fragmenty życia więźnia, jakie przesuwali się przed jego oszołomionymi oczami artysty. Za każdym z tych szkiców groziła mu śmierć pełna wyszukanej hańby, w jednej ze swoich licznych odmian, jakie niemieckim opracowcom podsuwała chora wyobraźnia. Ta śmierć z majestatu odarta, plugawa, śmierć różnoraka, żarłocznie i nienasyconie porywająca widma w pasiakach — to głów-

ny motyw, przesuwający się złowrogą nicią przez wszystkie plansze.

Jest ich 16. Szesnaście tragicznych obrazków, robionych sepią, a raczej odwarem z kory dębowej, którym — wobec zrozumiałego braku farb — posłużył się artysta. Mają beczenną wartość wstrząsającego dokumentu wobec skłonnego do przebaczenia i tak łatwo zapominającego świata. Są protestem przeciwko hańbie, jaką na kulturę i ludzkość rzuciły Niemcy stwarzając nową organizację śmierci w gigantyczne obozowe wyniszczenia dla milionów ludzkość notorycznie niewinnych, za to tylko, że by innej rasy lub narodowości, dla tych, którzy nie mogli bądź nie chcieli znaleźć się w gromadzie bijących i zabijających. By przecież wśród tych skazanych na „wyszczenie” liczni tacy, którzy mogąc wybrać woleli znaleźć się po stronie bitych i zabijanych, niż zaprzeczyć się człowieczeństwa, jak np. ci wszyscy, którym z powodu germańskiego brzmienia nazwiska, lub niemieckiej prababki „naród panów” postawił wielkodusznie frukę otwartą dla niemieckości.

Niemniej płomienną wypowiedzią niż malowane grozą i bólem plansze, jest wstęp jakim artysta zaopatrzył swój zbiór. Horski rzuca tu ciężkie, krwią serdeczną wezbrane słowa na szalę przeciwko barbarzyństwu niemieckiemu. Ale nie poprzestaje na tym. Idzie konsekwentnie dalej i nie tylko piętnuje przerażające metody mordowania milionów bezbronnych i bezwinnych ludzi, ale z temperamentem urodzonego artysty — co ważniejsze — z poczuciem znaczenia słów swoich, jako człowieka, który sam cierpiał, występuje śmiało przeciwko samej instytucji obozu karnego dla politycznych, więzionych i gnębionych za to, że ośmielili się myśleć inaczej, niż rządzący. Wszakże to, co w jednym kraju jest karane, jako polityczna zbrodnia, w innym może być źródłem zaszczytów i władzy!...

— Sprawiedliwość może być tylko jedną: ogólnoludzka, międzynarodowa! — woła Horski.

Jest to jedna z tych prawd, tak wielkich że aż olśniewających w swojej prostocie. Czy na jej wprowadzenie w życie należało czekać, póki nie nastąpi jedna niepodzielna ideologicznie organizacja świata?...

Autor wyraża przekonanie, że Organizacja Narodów Zjednoczonych powinna powziąć wiążącą wszystkie państwa uchwałę, iż sprawa więźniów politycznych przestaje być ich sprawą własną, wewnętrzną, a więc nie pozwalającą na wkroczenie innych. Wręcz przeciwnie!... Jeżeli ludzie rządzący jakimś państwem — tu autor wysuwa jako jaskrawy przykład Hiszpanię — uważają za potrzebne kontrolować sumienie swoich obywateli, ich myśli i przekonania, to państwo takie winno stać się przedmiotem zainteresowania Rady O.N.Z. ustroj za jej ulec szybkiej likwidacji przy pomocy wszystkich innych narodów.

Takim apelem do sumienia świata, za równo w swojej części publicystycznej, jak malarskiej, jest publikacja Stefana Horskiego, który wyszedłszy cało i niezłamany moralnie z hitlerowskiej kaźni, ma prawo zabierać głos.

Za ilustrację tej niepożytości jego ducha niechaj posłuży komentarz autora do ostatniej planszy.

Zetknąwszy się kiedyś osobiście w przedsiwniku krematorium z dowodami ludzkości wśród pariasów obozu, tzw. „muzymanów”, pytał sam siebie struchlały, a nie zaskoczony po dłuższym bowiem w „Jagrze” pobycie nic już człowieka zdziwić nie mogło:

„Czy potem, w przyszłości, pojęcie dobra i zła będzie dla mnie znaczyło to samo, co przedtem, dawniej?... Czy w tym nieznanym jakimś jutrze będzie w ogóle miejsce na te same pojęcia, którymi żyliśmy przed wojną?... I bardzo prędko przekonałem się, że serca nasze żyją i czują, mimo wszystko widziane i przeżyte, co to miłość i tkiwość, żyją niczym nie dającym się zgasić słońcem nadziei”.

Tym wyznaniem, tym krzepiącym peanem na cześć cudownej mocy ducha ludzkiego, mocy regeneracji, kończy się publikacja więźnia nr. 28932, który w „K. Z. Lager — Oranienburg” przeżył pięć i pół lat, przeżył i nie zmilczał.

Mieczysław Zydler

MARIAN MORELowski

## » O R E S T E J A « W WARSZAWSKIM TEATRZE POLSKIM

W ostatnich paru dziesiątkach lat przed r. 1939 miałem możność podziwiać inscenizacje sztuk wielkiego repertuaru w sześciu głównych stolicach Europy, w najsłynniejszych teatrach. I powiem z najgłębszego przekonania: to co przeżyłem patrząc dopiero co na Orestję w Teatrze Polskim pod dyrekcją Arnolda Szyfmana, a w oprawie dekoracyjnej, — ściśle mówiąc architektonicznej, rzeźbiarskiej, malarskiej, świetlnej i kostiumowej W. Borowskiego — należy do najgłębszych i najpiękniejszych wrażeń artystycznych, jakich kiedykolwiek doznałem. Mało tego. W obliczu porównawczych wspomnień zbudziło się we mnie spontaniczne odczucie, że jestem dumny jako Polak z tak niezwykłego poziomu całości, nie tylko wytrzymującego porównania o ogólnoeuropejskiej skali ale przewyższającego niejedno główne osiągnięcie zagranicą w zakresie tragedii greckiej, jak np. Maksa Reinharda w Berlinie, lub klasyków francuskich w Paryżu.

Przed wszystkim uznanie największe należy się za założenie zasadnicze: za unikanie naturalizmu; tak słuszne wobec archaiczności doby greckiej w jakiej się Orestja rozgrywa, — wobec koturnowej wzniosłości Aischylosa, sięgającej w nadziemskie, tajemnicze regiony głębokiej religijności, — wobec słuszności poglądów prof. Srebrnego, autora pięknego tłumaczenia i drukowanych przed wojną wywodów antinaturalistycznej koncepcji teatru greckiego w piątym wieku przed Chrystusem.

Powtórę hołd, — tak, dosłownie, hołd, zarówno dyrekcji i zespołowi Teatru Polskiego, jak wszystkim czynnikom, które taki wybór i tak poważne wydatki uznały wbrew wszelkim pozorom, za rzecz na cz-

się. Bo to jest wyraz zrozumienia historycznej chwili Warszawy w ruinie; Warszawy najszczytniejszego bohaterstwa i najstraszliwszej w ogólnoludzkim znaczeniu gehenny, jaką przeżyło jakiekolwiek miasto w dziejach powszechnych. Bo to jest dostrojenie się do naturalnego patosu stolicy, gdzie każdy nieledwie kamień woła o pomstę niebios, jak Orestes. I gdzie z oparów obłędnej jak u niego rozpacz nad zniszczeniami, wyrwa się rwący jak potok, żywiołowy pęd do wskrzeszenia życia, pęd do zdrowia, do okrzepnięcia, wbrew wszelkim stratom i ruinom; — zwyczajni meżnością i wiarą w pomoc boską — znów jak u Ortesa.

Uznanie, — dalej, — za jedynie trafne ujęcie dzieła: zespołowe.

Nikt nie wysuwa się grą czy postawą, aby na sobie skupić uwagę i oklaski widowni. Wszyscy razem i wszystko, razem z dekoracjami i z piękną oprawą muzyczną, służy tylko wielkiemu dziełu, wielkiej sprawie, jaka się dzieje, wielkiej całości. Doprawdy najpiękniejsze pojęcie sztuki jako Służby dla idei. A stąd o krok od nowego obrzędowego kapłaństwa w misterium, jakiego duchem jest przepojony Aischylos do dna; — równocześnie tak zdumiewająco ludzki i, — po dwu i pół tysiącach lat tak zdumiewająco bliski nam przez głębię człowieczeństwa.

To dać odczuć widzom, to trudność niezwykła, a tak osiągnąć, nie mniejsza za służbę. Czymże są wobec tego, jak nie drobiazgiem pewne małe niedociągnięcia jak np. w chórach, miejscami tak zresztą naturalne wobec tego, że pełna, najważniejsza w chórach zespołowość w duchu antycznym, nie leżała przecie dotąd w sferze dłuższej praktyki scen polskich. To się wyrówna przy tym oddaniu i tej umiejętności współdziałania kierownictwa i artystycznego personelu. Najlepszym dowodem gra i demoniczne płasy erynij, mało, że bez zarzutu, — świetne. I to pomimo niezmiernie trudności operowania lotnymi szatami tak, że zdają się przemieniać w obraz potwornych i złowrogich owadów w opętaniu, w szale kaśliwości.

A wreszcie, — (i możnaby równie dobrze powiedzieć „przede wszystkim”) najwyższy w skali europejskiej poziom oprawy

plastycznej W. Borowskiego. Uznanie za doskonały wybór artysty. Znamy go z dawna i cenimy za rodzaj abstrakcjonizmu jego sztuki, tak nowoczesny, a zarazem tak bliski archaicznej Grecji, tak głęboko polskim nacechowany umiarem; tak szczęśliwie daleki od cudzoziemskiej przesady brutalizującej zbyt geometryzowaniem a przesiąknięty dyskretnie zmysłem naturalnej prawdy, ale podniesionej do wyżyn imponującej monumentalności.

Dekoracje Borowskiego nacechowane dostojnością wielkich architektonicznych brył i płaszczyzn, bijące powagą wielkich malarskich plam o najprostszych konturach, wymowne miarą uroczystych proporcji, — nazwać można bez cienia przesady kongenialnym wtórem do nastroju całości Aischylosowego dzieła. Nastroj istoty treści scenicznej ciągle one podtrzymują, interpretują, wsączają w duszę widza. Dzięki związkowi ich z grą i treścią niema chwili, w której widz przestawałby czuć się owiany atmosferą właściwego, poruszającego do głębi patosu. I niema chwili, w której by piękno takiej duchowości zmaczone było zbyt teatralną w złym znaczeniu „patetycznością” — sztuczną. Wszystko jest prawdą, — tylko że wielką!

Doskonałym był pomysł ułożenia chóru żalobnych niewiast w figurą geometryczną koliska, w jakie się przemieniają okrażające grób Agamemnona, lub przywarcie się ich do cyklopicznej ściany domu jakby tworzyły na jej płaszczyźnie płaskorzeźbę. Pragnęłoby się tylko, żeby ta żywa geometria form ludzkich doskonały odpowiednik zgeometryzowanych brył architektury, została jako pomysł świetny zaaplikowana częściej a wielorako, w chórze męskim i żeńskim żalobnym. Aby nie łączyły się one w grupy o nieokreślonej chwilami formie całości, aby poszczególne jednostki danego chóru nie zbliżały się do siebie i nie rozłączały zbyt „zwyczajnie” — aby układając się częściej w różne „Teorematy” o wspólnym „szyku”, wspólnej linii, dostrajały się częściej figurą tak szczęśliwą jak owe kolisko przez żywą geometrię ewolucji do nastrojów i geometryzacji w stylu Borowskiego, powtórzmy z przekonania, tak bliskim stylowi archaicznej sztuki Helady.

Czytajcie i prenumerujcie  
dwutygodnik  
kulturalno-  
literacki „ZDRÓJ”



ANINA PLISZCZYŃSKA

## KWESTIA WYCHOWAWCZA »W SZCZENIAKACH«

Już po raz drugi w ciągu ostatnich lat oglądaliśmy na scenie Teatru Lubelskiego sztukę, zaczerpniętą z tematyki życia szkolnego. „Matura“ Fodora była widowiskiem dość udanym ze względu na żywe kreacje sceniczne (Błońska, Chmielewski, Klejer), choć atmosfera tej szkoły nie miała nic wspólnego ze współczesną szkołą i jej problematyką, a klimatem przypominała raczej dawne warszawskie pensje; również naczelny motyw fabularny. Nagła miłość dyrektora do młodzutkiej dziewczyny, był naiwnie i nieprzekonywująco przeprowadzony. Jednak „Matura“ nie rościła sobie wysokich pretensyj ideowych, w pierwszym rzędzie miała na celu zabawę, była przytem dobrze zbudowana.

Rzecz inna zupełnie ze „Szczeniakami“. Sztuka, słabo zbudowana, rozwlekła, sylwety postaci scenicznych niezbyt wyraźne, dość niekonsekwentnie przeprowadzone (dyrektor w I i IV akcie), trudny i subtelny problem wychowawczy, potraktowany naiwnie i powierzchownie, bez żadnej znajomości nowoczesnej szkoły. Jednym słowem: sztuka o niskim poziomie artystycznym, choć interesującej tematyce. Reżyser poszedł wyraźnie na farsę, co ogromnie zaszkodziło aktowi ostatniemu, wysoce dramatycznemu, aktorzy dodali swoje gierki a to osłabiło jeszcze efekt artystyczny i napięcie wewnętrzne roli Gabriela Lamy w jego szczytowej wypowiedzi aktu IV. Jedyna czołowa, dobrze zbudowana przez autora postać sceniczna: Gabriel Lamy, doskonale odtworzona przez Piekarskiego, wygrana niemal bez reszty, przemyślana i przeżyta, trzyma całą sztukę, przyciąga całą serdeczność widza. Tu czuje się prawdę i życie. W postaci Gabriela Lamy przedstawił autor plastyczność duszy młodzieńczej, skłonnej zarówno do dobra, jak zła, wrażliwej na wszelkie wpływy, reagującej natychmiast, pełnej skrajności i ekstrawagancji, zmiennej w zainteresowaniu, skłonnej do idealizmu, i rzucił ją na tło szkoły z nieprawdziwego zdarzenia i środowiska domowego, zmaterializowanego i obojętne etycznie. Gromadka chłop-

ców, przedstawiona nam w sztuce, nie jest właściwie ani zła ani dobra, a tylko na prawdę godną współczucia. Zabłąkane w gąszczu rzeczywistości dzieci. Skąd mają czerpać wzory do naśladowania? Dyrektor wulgarny, tępy i słaby wewnętrznie ma, jako jedyne narzędzie wychowawcze, karę, nie dając młodzieży nic pozytywnego, nie usiłując wpływać na rozwój jej zainteresowań umysłowych, poglądów etycznych, wręcz przeciwnie obraża ich człowieczeństwem, przedstawiając klasę jako menażerie, czy bandę kajdaniarzy wobec nowej nauczycielki (w ich obecności!) i zabija w ten sposób wrażliwość i ambicję.

Cóż może dać chłopcom dziecinny starzec Chaminet (świetnie zagrany!), karcony w ich obecności przez dyrektora. Taką szkołę słusznie budzi opór wewnętrzny zdrowych i silnych chłopców.

Środowisko domowe, pozornie karząc wybryki chłopców, faktycznie jeszcze popycha ich do nieuczciwego handlu, stając się ich słabymi odbiorcami. Jeśli mimo to wykazują dużą wrażliwość etyczną, solidarność koleżeńską, nie tracą zdrowego sądu umysłowego, przypisać to należy wrodzonym dobrym skłonnościom.

W ten to świat wkracza panna Bravard. Pierwsze jej kroki wychowawcze budzą aprobatę widza: okazuje szlachetną zawziętość w stosunku do zadania, do którego zniechęca ją dyrektor, wyczuwa trafnie w postaci Gabriela L. — przywódcę, — ujmuje się słusznie za uczniem, wypędzonym brutalnie przez dyrektora. Warto zauważyć, że jej uroda i kobiecość nie podziały na klasę od razu, dopiero etyczny czyn w postaci pomocy, udzielonej niesłusznie wypędzonemu chłopcu Legros, otworzył jej serca klasy, a w pierwszym rzędzie Gabriela. Trafnie postępuje, zatrzymując na rozmowę Gabriela, aby uzyskać dostęp do duszy przywódcy. I niewątpliwie znalazłaby b. łatwo kontakt wewnętrzny w tej chwili, tak korzystnej wychowawczo.

Gdyby zaś jeszcze pogłębiła zainteresowanie chłopca, z którym on się wcale nie

kryje (morze i marynarka), przez odpowiednią lekturę czy działanie, sądzę, że uzyskałaby całkowity wynik wychowawczy pozytywny. Oparcie bowiem wychowania na pozytywnych środkach działania oraz na życzliwości i zaufaniu młodzieży, na wydobyciu z niej spontanicznych zamiłowań jest cechą podstawową nowoczesnej szkoły.

Urok osobisty p. Bravard, pozostając w cieniu głównego zadania: nawiązania kontaktu umysłowego i etycznego z młodzieżą, mógłby stać się elementem, jedynie towarzyszącym i to pozytywnym wychowawczo. Tymczasem p. Bravard czyni ze swej urody i kobiecości głównym czynnikiem wychowawczym, metodę; w akcie IV usprawiedliwia się tym, że uznała to za jedyną, ostatnią możliwość uratowania dusz. Jest to stanowisko do głębi nieuczciwe i zupełnie naiwne, jest to właściwie rezygnacja ze

niej, było wyrazem tak szczerego uczucia, tak głębokiego sentymentu, że słusznie możemy się obawiać, iż po raz wtóry nie zdoła przeżyć czegoś również czystego i pięknego.

Metoda p. Bravard jest igraszką z ogniem. Skutek nieobliczalny. Między nauką a dzieckiem musi być pośrednik: dusza nauczyciela, która potrafi przez zachwyt wprowadzić dziecko w misterium ducha. Zachwyt dziecka — to droga, przez którą wchodzi prawda do jego duszy. Nauczyciel wychowawca nie może się wyrzec zachwycania ucznia swym przedmiotem nauki. Ten entuzjazm, w którym dusza dziecka jest prawdziwą l'ame enchantée, sprawia, że dziecko chętniej się uczy, że dłużej pamięta to, czego się chętniej uczyło, że skłonne jest samo pogłębiać to, z czym zapoznało się pobieżnie w klasie. Ale do tego nie potrzeba erotyki. Jeśli nauczyciel kocha



„Szczeniaki“ R. Ferdinanda w Teatrze Miejskim w Lublinie  
Miklański, Marciszewski, Śliwa, Paśławska, Piekarski, Kondrat.

wszystkich środków wychowawczych za cenę wyniku. — Cel uświęca środki.

Szkoła nowoczesna jak najkategoryczniej wypowiada się przeciwko jakimkolwiek kokietowaniom ucznia (erotycznemu czy innym), schlebaniu mu, nie jest bowiem rzeczą bezpieczną i nie zapewnia trwałych wyników moralnych wychowanie oparte na osobistym uroku nauczyciela, jako jedynym mierniku wartości. Jedynie bezkompromisowa postawa etyczna nauczyciela, oparcie współżycia między nauczycielem a uczniem na koleżeństwie umysłowym wspólnym dążeniem do ideału na autorytecie moralnym i umysłowym z jednej strony; z drugiej — na zaufaniu i przywiązaniu — zapewnia szkole współczesnej czystą i zdrową atmosferę.

Pytanie p. Bravard: „Czy podobam się panu, jako kobieta? — jest wręcz niedopuszczalne, spoufalą ucznia i upoważnia do snucia nadziei osobistych. Skutek metody p. Bravard pozornie bardzo wielki: Klasa znakomicie się poprawia, zaczyna się uczyć, ale ofiarą pada najwrażliwszy, najwartościwszy chłopiec, odnoszący się do nauczycielki z najwyższym pietyzmem i czcią — Gabriel Lamy. W ostatnim akcie skarży się, że jest bardziej nieszczęśliwy od największego nędzarza w mieście. Zrozpaczony chłopak radzi sobie jak umie. Oto, aby skłonić ojca do oficjalnych oświadczeń w jego imieniu wobec p. Bravard, wyrzeka się morza i gotów jest objąć aptekę, której nie cierpi. Ojciec Lamy, kochając aptekę więcej, niż syna, zgadza się z radością na tę ofiarę chłopca (!) i spieszy teraz rączę do p. Bravard, która, niestety, jako szczęśliwa narzeczona (od 6 miesięcy) opuszcza złamanego Gabriela na dwa dni przed egzaminem maturalnym.

Można by mieć poważne obawy, czy Gabriel w ogóle zda maturę po takim wstrząsie. Jakże okrutna i bezwzględna dla dziecka atmosfera!

Ze chłopiec zapomniał się wobec nauczycielki — nic dziwnego, był do pewnego stopnia ośmielony jej metodą postępowania. Przemówienie zaś, jakie wygłosił do

szkołę i swój przedmiot, zna go nie najgorzej, ma trochę talentu, a przede wszystkim studni niewyczerpaną dobrą wolą trafi do duszy ucznia i zachęci ją do nauki i pracy dla ideału trwałej i skutecznej, niż p. Bravard swym exterieurem i nieodpowiedzialną metodą.

Teoretycznie zdarzyć się może sytuacja, że uczeń poczuje osobisty sentyment do nauczycielki, czy uczennica do nauczyciela; rzeczą owego nauczyciela wychowawcy, o ile to spostrzeże, jest zastosować natychmiast środki zapobiegawcze i zająć tak obojętną postawę, która nie dopuści do rozwoju zbyt dużego uczucia, bez szans wzajemności, a skieruje zainteresowanie ucznia na przedmiot nauczania czy pracę obywatelską, nie upoważniając w najmniejszym stopniu do snucia jakichkolwiek nadziei osobistych.

Szkoła współczesna metodami pracy, atmosferą, problematyką, ofiarnym poświęceniem dla młodzieży, zasłużyła już chyba na ukazanie jej w prawdziwym świetle, szczególnie zaś zasłużyła sobie dusza szczerego wychowawcy. Na razie społeczeństwo ogląda szkołę w krzywym zwierciadle nieudolnej, krzywdzącej karykatury. Cały pozytywny wysiłek nauczyciela, wkład inteligencji, intuicji, znajomości psychiki dziecka, polotu, uchodził oku społeczeństwa, oceniającego postać nauczyciela miarą zataczanego belfra lub nieszkodliwego dziwaka, lub jak tutaj, nieodpowiedzialnej cklowej panny, wzniciającej pożar, wobec którego stoi bezradna.

Tytuł sztuki słusznie można by zastosować do autora, a nie tylko do wszystkich postaci przezeń stworzonych. Bystra i czujna wychowawczyni w szkole męskiej zdoła nieraz szybciej zauważyć pewne procesy, zachodzące w organizmie psychofizycznych chłopca, niż kolega mężczyzna, właśnie dzięki swej obcości fizycznej i może być bardzo pozytywnym czynnikiem w szkole, nawet kierowniczym, o ile posiada wyraźny pion moralny, poczucie odpowiedzialności i talent.

Janina Pliszczyńska.



„Szczeniaki“ R. Ferdinanda w Teatrze Miejskim w Lublinie  
R. Piekarski (G. Lamy) i T. Paśławska (p. Bravard)

Redaktor: Dr STANISŁAW K. PAPIERKOWSKI — Wydawca: FRANCISZEK TWARDON  
Redakcja i Administracja: Lublin, ul. Peowiaków 5 m. 13; tel. 30-45. Redaktor przyjmuje: we środy od 15-16.  
Administracja czynna codziennie od 9-13 i od 16-18. Rekopisów nie zamówionych nie zwraca się.  
Cena Numeru 15 zł — Prenumerata: rocznie zł 300; półrocznie zł 160, kwartalnie zł 80 —